Nr. 12. Lwów, dnia 1. Grudnia 1886. Rok IX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

ZAJĄC

PRZEZ

KAZIMIRZA REMISZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Wielkość remizy zależy od zadania, jakie takowa ma spełnić. Jeżeli ma służyć tylko do ochrony zwierzyny, wystarczy przestrzeń ¼-morgowa, jeżeli zaś polowania w niej mają się odbywać, musi być naturalnie większą, na 2 morgi i więcej. W ogóle powinniśmy się kierować zasadą: lepiej więcej remiz mniejszych, jak mało dużych; osobliwie zaś w rewirach polnych, płaskich. Doświadczenie uczy, że w rewirach polowych, w których wiele jest remiz, daleko lepiej rozmnażają się kuropatwy i zające, jak w innych, tych sztucznych schronień nie mających. Tłumaczy się to w ten sposób, iż zajęczyce kocąc się w remizach, zabezpieczają tem samem płód swój od niekorzystnych wpływów wiosennej, u nas zwykle długotrwałej niepogody i od drapieżnych ptaków, szczególnie kruków, wron i srok. Wprawdzie i w czystem polu zajęczyca stara się chronić młode, zagrzebując je, czyli przykrywając lekko ziemią, gdy się oddala, czyni ona to jednak tylko w pierwszych dniach po okoceniu, jak długo jej pokarm zawadza, później zaś zostawione są młode zajączki same sobie i ginie ich wtedy bardzo wiele. W Marcu i Kwietniu pola nie pokryte runią zbożową nie dają żadnego schronienia zajączkom, broni je jedynie ich nieruchomość i sukienka, kolorem nie różniąca się od otoczenia. Słaba to jednak obrona w obec wygłodzonej zimowym postem rzeszy wron, srok, kruków i przeciągających właśnie innych drapieżnych ptaków. W tym czasie szkodliwym jest nawet obojętny zresztą myszołów zwykły *(buteo vulgaris)*, który godzinami siedząc na wyniosłem miejscu, śledzi dokoła i spostrzeże bystrem okiem zajączka, byle ten się tylko ruszył w kotlinie. Wrony i kruki przeszukują trapione głodem każdą skibę, i biada zajączkom, które się w ich szpony dostaną. Szkoda jest tem większą, że rzut cały, w pierwszym miesiącu osobliwie, trzyma się zwykle razem w pobliżu i razem też ginie.

Remiza zakłada się w sposób następujący: Obrane miejsce (czworobok), otoczone rowem celem powstrzymania bydła, zasadza się świerkami, najlepiej 3-letniemi w wiedźbie czwórkowej, w odstępach 1 do 0·60 metrów, burty zaś rowów obsiewa się miotłowcem i obsadza tarniną i t. p. Jeżeli remiza większa i ma być zarazem miejscem na żerowisko, dobrze jest wewnątrz pozostawić małą polankę, na której się stawia tryzubek lub budka. Skoro świerki

dorosną 2-metrowej wysokości, obcina się tymże corocznie górny pęd, przez co boczne gałęzie się zgęszczą, a drzewka nie wybujają. Pojedyncze drzewa wyższe nie powinne być w remizie cierpiane, ściągają bowiem drapieżne ptactwo i tak zamiast pożytku, przyniosłyby raczej remizy zwierzynie szkodę. Natomiast zaleca się bardzo umieszczenie jednego lub więcej słupów, stosownie do wielkości remizy i umieszczenie na tychże żelazek lub łapek, t. z. koszy na jastrzębie. Gdyby pojedyncze świerki uschły lub uległy uszkodzeniu, dopełnia się starannie powstałe luki miotłowcem i jałowcem, można też od razu przy plantacyi mięszać sadzonki świerkowe z jałowcowemi. W trzy lub cztery lata po założeniu remiza jest już dobrą; chcąc jednak rychlej cel osięgnąć, można sadzić starsze świerki, 5 — 6-letnie, z bryłami ziemi. Dobre są również remizy ze samego miotłowca, który się bardzo gęsto krzewi, a nadto daje zwierzynie w zimie doskonałą karmę. Gdzie stałych remiz nie ma, można zanim takowe zostaną założone, posiłkować się t. z. remizami latającemi. Są to kawałki pola, zasadzone kukurudzą zwykłą, albo lepiej jeszcze, końskim zębem, lub też bulwą, czyli topinamburem. Kukurudzy nie sprząta się na zimę zupełnie, wyłamuje tylko kaczany, a pozostałe badyle wspierając się na sobie, dają dostateczną zwierzynie ochronę.

Remizy topinamburowe mają tę wyższość nad poprzedniemi, iż mogą być założone na najgorszej ziemi, trwają lat trzy, same się odnawiając i dają oprócz tego dość dobrą karmę zwierzynie, mianowicie bulwy płytko pod powierzchnią ziemi się znajdujące. Grunt pod remizę topinamburową użyty daje nawet pewien dochód, można bowiem corocznie część bulw wykopać i użyć w gospodarstwie z korzyścią jako dobrej karmy dla bydła.

5. Starać się usilnie ochraniać na polowaniach zajęczyce. Gdyby rozróżnienie płci u zajęcy było tak łatwem, jak n. p. u sarn i myśliwy z zasady nie strzelał samic, mielibyśmy wszędzie może za wiele nawet zajęcy. Niestety, tak nie jest. Zapewnienia niemieckich myśliwych, że przy pewnej wprawie można rozpoznać płeć, odnosi się może jedynie do miesięcy wiosennych i letnich, jesiennych wreszcie, nigdy zaś do zimowych. Na zasiadach, w kotlinie, na polowaniu nawet, wolno i blisko kicającego zająca płeć rozpoznać można, mając dobry wzrok i trochę wprawy, w biegu zaś nikt tej sztuki nie dokaże. Mimo to jednak ośmielę się podać projekt, który należycie wykonany, mógłby nam znakomite oddać usługi. Mam na myśli łapanie zajęcy i znaczenie samic obcinaniem obu słuchów. Łowienie dałoby się bez wielkiej trudności uskutecznić, używając koszy plecionych z łoziny. Kosz taki, metr szerokości, o podstawie kwadratowej, bez dna, mierzy 2 metry wysokości. Ściana jedna musi być tak urządzoną, aby jej połowa górna dała się odjąć lub odemknąć, celem łatwiejszego wydobycia schwytanych zajęcy. U dołu znajduje się otwór, przez który zające do wnętrza dostać się mogą, kołki zaś, stanowiące niejako szkielet grodziwa, wystają na kilka centymetrów na zewnątrz i wbite w ziemię utwierdzają kosz tak, iż tenże przewrócić się nie może. Do koszy wkłada się ulubiony żer zajęczy, a więc przedewszystkiem pietruszkę w wiązkach, owies i t. p., skutkiem czego zające się wkrótce znęcają, wchodząc i wychodząc z koszy swobodnie. Skoro myśliwy spostrzeże, że się dostateczna ilość zajęcy do kosza znęciła, zmienia otwory u dołu się znajdujące w ten sposób, że zając wprawdzie do środka wejść zdoła, wrócić jednak nie może. Dzieje się to w ten sposób, że wtyka się giętkie, ostro zakończone pręciki naokoło otworu, których końce ku sobie zbliżone, tworzą otwór za mały, aby się zając weń pomieścił. Włażąc do kosza zając bez trudu odchyla giętkie pręty, napowrót jednak nie może się już cofnąć. W jednej więc nocy łowi się wszystkie znęcone zające, a rano myśliwy odchylając ruchomą ścianę, chwyta zające za słuchy, gachy puszcza nieznaczone, samice zaś po ucięciu ostremi nożycami obu słuchów do połowy. Koszy takich w każdym rewirze potrzeba mieć kilkanaście lub więcej. Najstosowniejszą zaś porą do łowienia jest początek zimy lub wiosna.

Wiadomo doświadczonym myśliwym, że główną zaporą obfitego rozmnażania się zajęcy jest przeważająca ilość gachów. Skoro więc po znaczeniu samic na polowaniach, wybijać się będą przeważnie gachy i proceder ten potrwa lat kilka, nie można wątpić, że się stan zajęcy znacznie pomnoży. W Niemczech jest znaczenie samic dość rozpowszechnione, pierwszy zaś impuls do tego dał brunszwicki leśniczy Hartung, który nie małą sobie zjednał sławę zakładaniem wynalezionych przez siebie zajęczarni.

Niewłaściwy stosunek obu płci do siebie możnaby poprawić odstrzeliwaniem podczas parkotni gachów. Jest to jednak rzecz zawsze drażliwa, po pierwsze weszłoby się w kolizye z ustawą łowiecką, a powtóre czynność tę możnaby powierzyć tylko bardzo wytrawnemu, doświadczonemu myśliwemu, który zdobył należytą wprawę w rozpoznawaniu płci zajęcy, a takich u nas nie zbyt wiele.

Jest to niewątpliwą prawdą, że samica z usposobienia mniej będąc ruchliwą, twardziej dosiaduje i regularnie na żer wychodzi z lasu raz obranymi wekslami. Z tego założenia wychodząc, potępić stanowczo należy polowanie na wydeptanego i zasiadki wieczorem pod lasem. W dobrach większych, gdzie właściciel sam myśliwy poluje z nagonką raz w roku, w każdym rewirze myśliwskim, albo też gdzie polowanie oddane jest zarządzającemu lasami, nie poluje się zwykle na zające na upatrzonego, lub na zasiadkach. Gdzie jednak rejon myśliwski mały, polowanie większe za kosztowne, osobliwie zaś jeżeli sam właściciel majątku nie myśliwy, chodzą na polowanie, chcąc dostarczyć na stół pański zwierzyny, kucharz, ekonom, pisarz, lokaj, a często i chłop-kłusownik, dostający wynagrodzenie za przyniesiogo zająca. Ci nibymyśliwi zwykle źle strzelają i mają broń lichą, staraniem więc ich zatem upatrzyć zająca w kotlinie i w miejscu strzelić, albo też upatrzywszy weksel pod lasem, zasiąść wieczorem. Nie potrzeba zdaje się dowodzić, że w ten sposób giną same prawie samice, a pożytek dla zwierzostanu ztąd jasny. Również niewłaściwem jest strzelanie zajęcy w ostatniej chwili tuż z pod nagonki na linię strzelców wymykających, śmiało można twierdzić, iż na dziesięć w ten sposób zabitych zajęcy dziewięć będzie samic.

Z tego względu wielce szkodliwe są polowania kociołkowe, tem więcej, że z zamkniętych w kole zajęcy rzadko który bez strzału umknie. W obec wydoskonalonej broni, taki zając strzelany daleko, najczęściej przez dwu sąsiednich strzelców, chociaż na pozór ujdzie zdrów, dostanie jedno lub kilka ziarnek śrótu i nosi w sobie już zaród śmierci, ginie więc bez pożytku dla nas.

6. Skoro rok na zające zły skutkiem wylewów, nader ostrej śnieżnej zimy, mokrej wiosny i lata, zawczesnej parkotni i co za tem idzie, wyginięcia pierwszego rzutu młodych,

lub nareszcie wskutek słabości epidemicznych, jak motylicy, ospy i t. p., należy polowania zupełnie zaniechać.

W należycie prowadzonem gospodarstwie łowieckiem uważa się zwierzostan jako kapitał zakładowy, jeśli się tak wyrazić można, a strzela corocznie tylko tyle, ile normalnie rocznie zwierzostan się zwiększa. Po skończonem sezonie myśliwskim powinien dawny *fundus instructus* pozostać nienaruszony lub zwiększony.

Jeżeli więc niekorzystne wpływy zmniejszą zwierzostan, powinniśmy się przedewszystkiem starać przez staranną ochronę i żywienie doprowadzić go do normalnej wysokości. Czasem jeden rok szanowania nie wystarczy, wtedy wypada przez drugi i trzeci rok z polowaniem się wstrzymać. Na wolności, mimo wielkiej płodności, zające nie rozmnażają się zbyt licznie, gdyż ich bardzo wiele ginie skutkiem niepogody i niszczenia przez lisy i drapieżne ptactwo. Jeżeli więc po jakiejś klęsce zostanie w rewirze 20 zajęcy do rozpłodu, to nawet w normalnym następnym roku wzrośnie ich liczba tylko do 40 sztuk. Skoro się zaś z tych 40 ubije na polowaniach 20 i co roku bez przerwy polować będzie, to zwierzostan nigdy, mimo starannej zresztą hodowli, podnieść się nie zdoła.

Podane powyżej prawidła można nazwać ogólnie ochroną racyonalną zajęcy. W okolicach jednak, gdzie zajęcy, czy to skutkiem braku wszelkiej ochrony, czy też epidemii lub t. p., prawie nie ma, aby obecny stan takowych polepszyć w krótkim czasie, wskazaną jest hodowla zajęcy, czyli zakładanie zajęczarni. Dwa są rodzaje zajęczarni, t. j. naturalna, czyli dzika i sztuczna, czyli ogrody zajęcze. Pierwsze zasadzają się na tem, że w miejscu stosownem wpuszcza się odpowiednią celowi ilość zkądinąd przywiezionych zajęcy, uwzględniając należyty stosunek płci do siebie i warunki, w jakich zające najlepiej się mnożą, w ogrodach zaś zajęczych hoduje się zające w ogrodzeniu, wypuszczając je w jesieni na wolność, pozostawiając jednak tę ilość, która jest potrzebną do wychowania pewnej danej ilości zajęcy.

1. Zajęczarnie naturalne czyli hodowla dzika. Wprawdzie mało jest okolic, któreby dla zajęcy zupełnie były nieodpowiednie, zakładając jednak hodowlę zajęcy, powinniśmy uwzględnić przedewszystkiem jakość gleby i położenie. Najstosowniejsze są równiny o pszennych gruntach, gdzie nie brak remiz sztucznych lub naturalnych i łąk, lasków i t. d. Dobry jest również teren pagórkowaty, na którym rodzi się pszenica i jęczmień. Zając lubi pszedewszystkiem różnorodność żeru i grunt ciepły w strefie umiarkowanej; położenie zimne, wystawione na działanie częstych północnych wiatrów, ubogie piaski lub góry lesiste bez pól uprawnych, nie odpowiadają mu zupełnie i tam też wszelki nakład na zajęczarnie byłby zupełnie stracony.

Mając stosowne miejsce z jedną remizą większą w środku rewiru i kilku mniejszemi, rozrzuconemi w rozmaitych miejscach, obsadzonych tarniną, jałowcem, janowcem, miotłowcem i t. d., przywozi się zające w klatkach i wypuszcza na wolność. Przy tem uważać należy, aby na jednego samca było 4 do 6 samic, i nie wszystkie zające od razu wypuszczać, lecz partjami, po kilka lub kilkanaście, gdyż w ten sposób łatwiej się one uspokoją. Dzień wybiera się pochmurny, a odpowiednią porą roku do obsadzenia rewiru zającami jest wiosna. Chcąc mieć widoczny pożytek w możliwie najkrótszym czasie, potrzeba od razu wpuścić kilkaset zajęcy. Rozumie się jednak, że ilość stosować się będzie przedewszystkiem do rozległości rewiru, poprawić się mającego, a następnie do żyzności gruntu. Im tenże jest lepszy, tem też większą ilość zajęcy wyżywić zdoła. Osadziwszy w ten sposób rewir i dając zającom należytą ochronę, można ich ilość doprowadzić do świetnego stanu.

2. Zajęczarnie sztuczne, czyli ogródki zajęcze. Chcąc szan. czytelnikom dać należyty obraz zajęczarni, o których tyle w ostatnich czasach pisano w niemieckich fachowych dziennikach, podam w dosłownem tłumaczeniu sprawozdania niektórych znakomitych myśliwych. Sposób ten poprawienia zwierzostanu, mający przedewszystkiem na celu przywrócenie należytego stosunku między gachami a samicami, znany jest dawno. Oto co o tem pisze Bechstein w *Handbuch für Jagdwissenschaft*:

„Do założenia zajęczarni nie są potrzebne duże lasy, tylko niskie krzaki tarniowe, małe zagajenia jałowcowe, lub innych drzew szpilkowych, których pieńki ucina się w wysokości 4 stóp, aby się lepiej przy ziemi krzewiły. Między temi znajdować się muszą małe pólka, obsiane żytem, pszenicą, owsem, częścią zaś zasadzone kartoflami, gdyż te rośliny, jako zielona pasza, są zającom najbardziej ulubione. Ogrodzenie nie może być plecione, gdyż zające łatwoby podkopywały, lecz winne być albo z pruskiego muru, albo też z częstokołu, lub parkanu z desek na podmurowaniu. Wysokość ogrodzenia wynosi 5 do 6 stóp. Co do przestrzeni, to zależy takowa od celu, jaki właściciel zajęczarni przeznacza, czy takowa ma za zadanie wzbogacić zwierzostan w danym rewirze, czy też jednocześnie ma dostarczyć zajęcy na kuchnię. (Ciąg dalszy nastąpi).

Własny zarząd czy wydzierżawienie polowania?

Jak wiadomo, łowy nie mają już dzisiaj nader podrzędnego znaczenia, owszem, zwraca się ku nim często uwaga w tym kierunku, iż wątpliwą staje się rzeczą, czy między przyjemnością a korzyścią należyty zachowuje się stosunek, jakoteż zachodzi dawna kwestya sporna, ażali łowiectwo z leśnictwem bez uszczerbku dla ostatniego da się połączyć, czy obok gospodarstwa lasowego ochrona zwierzyny jest możliwą, albo też do jakiego kresu hodowla zwierzyny może być dozwoloną? Te wątpliwości wywołują szermierzy słowa, występujących do walki w obronie łowów lub przeciw nim.

Koszta łowiectwa stanowią: administracya, urządzanie polowań, hodowla zwierzyny i nagroda szkód przez nią zrządzanych, a gdy się polowanie wydzierżawia, także czynsz

*

dzierżawny. Dochodem jest sprzedaż ubitej zwierzyny. Naturalnie dochody i wydatki w miarę miejscowości są rozmaite i zależą głównie od rodzaju hodowanej zwierzyny. Tak np. hodowla jeleni wymaga wcale innych kosztów, jak zajęcy i kuropatw, u których wydatki są prawie żadne.

Gdy w tej rozprawie zwracamy naszą uwagę wyłącznie na las i jego korzyści, to oczywiście możemy tu mówić tylko o takich polowaniach, które się odbywają w owych zagospodarowanych lasach, nie zaś o tych, w których umiejętnego gospodarstwa lasowego nie ma i gdzie dochód z łowów stanowi jedyny dochód.

Aby na pytanie: „czy należy ustanowić własny zarząd polowania, lub je wydzierżawiać?" należycie odpowiedzieć, trzeba wytknąć różnicę między prywatnym lasem pojedyńczych osób, lasem prywatnym osób legalnych, państwowym i gminnym.

Prywatny posiadacz lasu jako osoba pojedyńcza jest jedynym władcą swojej własności, który w miarę zachodzących warunków nie potrzebuje wziąć sobie za zadanie, jak największą korzyść z swego gruntu wyciągnąć, owszem może on jemu nadawać wartość afekcyjną. W takim razie zawisło rozstrzygnienie kwestyi, czy ma łowami sam zarządzać lub je wydzierżawiać, jedynie od jego osobistego widzenia rzeczy. Wtedy dopiero, gdy właściciel żadnego znaczenia nie przywiązuje do przyjemności, lecz tylko pragnie dochodów, można stosownie ze stanowiska gospodarskiego na to pytanie odpowiedzieć.

Jeżeli posiadacz jest osobą moralną, to będzie się inaczej na rzecz zapatrywać. Taki właściciel nie powoduje się, jak poprzedni, jedynie wolą, od której czynność zawisła, lecz owa wola musi być wytworzoną przez zespolenie wszystkich osób, składających ową osobę moralną, czy legalną. Ponieważ przy takiej własności głównym jest celem pozyskanie największego dochodu z ziemi, przeto głównie zwraca się uwagę przedewszystkiem na wydatność gospodarstwa, czyli na korzyści z lasu. Celem gospodarstwa jest zatem najstaranniejsze pielęgnowanie i spieniężenie drzewa, a wszelkie podrzędne korzyści muszą temu głównemu dążeniu ustępować.

Zupełnie odmiennie działa państwo, jako właściciel lasu. Las państwowy winien nietylko jak największe przynosić dochody, ale nieraz musi wyrzec się swych wygórowanych dochodów, aby inne spełnić obowiązki. Las taki w swej całości stanowi z jednej strony fundusz rezerwowy drzewny, z drugiej strony powinien być wałem ochronnym przeciw burzącemu naporowi potężnej przyrody, któremu państwo większą powinno poświęcić uwagę, jak prywatny posiadacz lasu. W lesie państwowym nie zawsze głównie wytężać należy działalność ku wyrobionemu drzewu, lecz też mogą się zdarzyć wypadki, że korzyści podrzędne przeważają lubo znacznych dochodów kasie państwowej nie przynoszą. Las państwowy jest więc nie tylko żródłem dochodów, ale też żródłem zasługi dla obywateli państwa, co w potrzebie bardzo na jaw występuje. To też i kwestya polowania co do lasu państwowego inaczej musi być rozstrzygniętą, jak przy prywatnej własności.

Jak wiadomo, nadmierny stan zwierzyny jest dla gospodarstwa lasowego w miarę miejscowych stosunków mniej lub więcej szkodliwym. W celu zaradzania temu złemu jest koniecznością, aby władza umniejszania zwierzostanu spoczywała najzupełniej w ręku właściciela, albo iżby przy wydzierżawianiu polowania w kontraktach tylko takie postanowienia były przyjmowane, które żadnej szkody gospodarstwu lasowemu przynieść uie mogą. Takie jednak układy musiałyby w pewnym względzie dzierżawcę ograniczyć tak, iżby on w działaniu nie miał zupełnej swobody, lecz był raczej wykonawcą zarządzeń właściciela. Dla takiego polowania trudnoby znaleźć dzierżawcę.

Co do szczegółowych niekorzyści, wynikających z dzierżawienia polowania, to nie można ich zaprzeczyć, a wyrażają się one głównie z dążenia dzierżawcy do zupełnej wolności chowu zwierzyny, z braku prawnych postanowień co do wynagrodzenia szkód w drzewostanie, z potrzeby nieograniczonego w niektórych wypadkach wykonywania prawa polowania, jako też z tego powodu, że w skutek wydzierżawienia obce żywioły, jako personal administracyjny, strażniczy i robotniczy, należący do dzierżawcy, wdziera się do lasu, któremu pewne prawa przyznać trzeba.

Bliższe objaśnienie powyższych punktów powinno najlepiej posłużyć jako odpowiedź na postawioną kwestyę. Co do pierwszego punktu dążenia dzierżawcy do ile możności najswobodniejszej hodowli zwierzyny, to jest owo dążenie bardzo naturalne. Któryż dzierżawca, jeżeli nie jest prostym strzelaczem, nie radby pomnożyć swojej zwierzyny? Jeżeli się podnosi znacznie czynsz dzierżawny, to należy dać więcej swobody w hodowaniu zwierzyny, jak tego dobro lasu wymaga, albowiem w przeciwnym razie musiałby się czynsz o wiele zniżyć. Gdy dozwolone jest dzierżawcy hodowanie zwierzyny z warunkiem, że czynsz będzie corocznie podnoszony w miarę czynionej w lesie przez zwierzynę szkody, to przedewszystkiem należy sobie postawić pytanie, czyli można oznaczyć stałą cyfrę tej szkody i dokładne jej oszacowanie. Przypuśćmy wypadek, że przemysł leśny wymaga pewnej ilości drzewa lub węgla, których las ma dostarczyć. Jeżeli produkty te nie mogą być zkądinąd wzięte, lub z nader wielkim kosztem, to należałoby w takich lasach ściśle według reguł gospodarować. W takim razie znaczna szkoda w lesie przez zwierzynę zrządzona, nie dałaby się wynagrodzić. Wchodzi tu w rachunek i ta okoliczność, że szkoda zrobiona w lesie, jak n. p. utrata przyrostu, nie może być dokładnie, lecz tylko w przybliżeniu wykazana, i że uszczerbek, wynikający z ogryzania kultur przez zwierzynę w ciągu wielu lat, niepodobna w ogólności cyfrą wyrazić. Jeżeli dzierżawca chętnie przyjmuje podnoszenie czynszu w miarę stosunków i godzi się na zastąpienie ubytku w drzewie zakupnem obcego drzewa, wtedy można ze stanowiska finansowego zezwolić na swobodne hodowanie zwierzyny w razie, gdy wszelkie inne warunki są przyjaźne.

Wpływ drugiej okoliczności, mianowicie wynagrodzenie szkody przez zwierzynę w lesie zrządzonej, leży wprawdzie tak jak w poprzednim wypadku w części w ręku posiadacza gruntu, jeżeli wszakże w kontrakcie z jakiegokolwiek powodu nie zastrzeżono właścicielowi tego wpływu, to może ztąd wyniknąć nie mała szkoda dla lasu. Pominięcie takiego zastrzeżenia może nastąpić z tej przyczyny, że w czasie zawierania kontraktu nie okazywały się widoczne szkody od zwierzyny, a pojawiły się one dopiero w skutek pomnożenia zwierzostanu, zmiany postępowania łowieckiego, lub zaprowadzenia nowych rodzajów drzewa i t. d.

Trzecia okoliczność, swobodne wykonywanie prawa łowieckiego, da się jeszcze trudniej, jak pierwsze, uczynić

nieszkodliwem. Jeżeli polowanie ma przynosić przyjemność, to jest rzeczą niezbędną, aby mogło być swobodnie wykonywane, mianowicie przy buszowaniu, wystrzeliwaniu podczas rui i tokowania. Wymaganie przeto ze strony dzierżawcy takiego swobodnego wykonywania polowania jest zupełnie usprawiedliwione, ale na tem właśnie polega znaczna niekorzyść dzierżawienia. Jakżeż często zdarza się wypadek, że w miejscu rui lub na tokowisku w porze polowania wykonują się roboty leśne, których odroczenie przyniosłoby znaczny uszczerbek gospodarstwu lasowemu, jak n. p. kulturowanie w pobliżu tokowiska, lub zręby w miejscach ulubionych grubej zwierzyny, ścinanie drzew, na których zwykle tokowania się odbywają, rąbanie sągów w jesieni i td. Wszystkie te roboty muszą być zaniechane na korzyść dzierżawcy polowania z wielką szkodą dla lasu, co przy oznaczeniu czystego dochodu z polowania, nie wchodzi w rachunek. Nie mogą wprawdzie te straty być wyrażone w cyfrach i rzadko uwidoczniają się komukolwiek, dla nas jednak wystarcza wiedzieć, że te niekorzyści istotnie istnieją.

Przy polowaniu we własnym zarządzie nie ma potrzeby zwracać uwagi na trzeci punkt, bo wtedy nie poluje się jedynie dla przyjemności. Gdy wszakże przy wydzierżawianiu nie skieruje się baczności ku wykonywaniu łowów, to polowania przyniosą często dzierżawcy więcej umartwienia, jak przyjemności, niezawodnie wkrótce wyrzeknie się go i nie łatwo będzie można znaleźć nowego dzierżawcę. Wzgląd więc, że nie można ukrócić swobodnego wykonywania polowania dzierżawcy, przemawia stanowczo przeciw dzierżawieniu.

Wprowadzenie do lasu w skutek wydzierżawienia polowania obcych żywiołów, jako personalu administracyjnego, strażniczego i robotniczego, jest istotnie rzeczą przykrą, o której oddziaływaniu na las wiele już mówiono i pisano, a dotąd zdania w tym względzie wielce się różnią. Należy przeto ten punkt bliżej rozjaśnić. W gospodarstwie lasowem mamy zwykle główne, pośrednie i podrzędne cele i użytki. Główne i pośrednie odnoszą się do drzewa, jako nader ważnego produktu gruntu lesistego, podrzędne zaś do owych wytworów, które nie są drzewem. Są to łowiectwo, rybactwo, uprawa pól leśnych, spożytkowanie łąk. Podrzędne te użytki jednak są tak ściśle związane z głównymi, że staje się rzeczą trudną lub wcale nie możliwą, jedne od drugich oddzielić. Szczególnie dotyczy to łowiectwa. Główne zwierzęta łowne nie mogą istnieć bez lasu, wraz z lasem doznają opieki i ochrony. Bez lasu nie ma na całym kontynencie wyższych łowów, gospodarz lasu, jest zarazem stróżem i hodowcą zwierzyny. Leśnik tylko może oznaczyć, w jakiej mierze zwierzyna może być utrzymywaną i on tylko może podrzędny użytek tak uregulować, iż on nie staje się szkodliwym dla głównego.

Jeżeli zaś myśliwstwo nie we własnym zarządzie, lecz przez dzierżawcę jest prowadzone, to wraz z wydzierżawieniem następuje w lesie szkodliwy rozdział czynności, mianowicie rozdział zarządu i straży, który w większym i mniejszym zakresie objawia szkodliwe skutki.

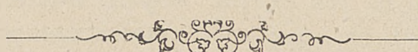
Leśnik, obcujący nieustannie z naturą, nie może być pozbawionym uczucia dla zwierzyny, ozdoby lasu. Ona staje się siłą, pociągającą go do lasu, zwłaszcza, gdy oprócz swego zawodowego działania jest opiekunem pożytecznej zwierzyny, nie zaś szkodliwej, której u siebie znosić nie powinien. Często on zwidzać będzie swoje rewiry z powodu zwierzyny nawet wtedy, gdy zawodowe obowiązki go do tego nie powołują. Przy tej sposobności nie raz się przekona, że to jest istotną koniecznością. Nie jedno mu wtedy wpadnie w oko, uchyli wszelkie ujemności i dotrze do miejscowości, które bez względu na myśliwstwo byłyby dla niego nieznane i których nigdyby nie zwidzał. Wzgląd na myśliwstwo daje mu sposobność częstego lustrowania swoich rewirów, rozszerza jego czynność i daje mu użyteczne wskazówki.

Gdy wszakże w lesie działają podwójni funkcyonaryusze, to zawsze następują zwady i spory. Leśnik, zarazem myśliwy, będzie uważał strażnika łowczego jako wdzierającego się w jego czynność, a ztąd wynika jasno, że sprawy leśnictwa i łowiectwa na tem ucierpieć muszą. Doświadczenie dostarczyło nam nadto dostatecznych dowodów, że zarządy obu działów zjednoczone, dla gospodarstwa lasowego nader są pożądane.

W poprzednim wywodzie rozbieraliśmy postawioną kwestyę ciągle tylko z finansowego stanowiska, już to ze względu na wprost z łowiectwa wynikające dochody, już to mając na oku finansowy wzgląd głównego użytku. W lesie państwowym staje się ów czynnik, tyle ważny, a często nawet jedynie znaczący dla gospodarstwa prywatnego, podrzędnym. Tu bowiem występuje bardziej na jaw strona narodowo-ekonomiczna, lub też ma co najmniej wielki wpływ na rozstrzygnienie naszej kwestyi, w sposób wyżej wskazany.

Nadmienimy tu jeszcze o jednym właściwym sposobie dzierżawienia, jakiego się używa w królewsko-saskich leśnictwach państwowych. Wydzierżawiają się tu wszystkie polowania z tym warunkiem, że dzierżawcami mogą być tylko król i państwowi funkcyonaryusze leśni. Taki rodzaj dzierżawienia ma stanowczo wiele zalet i daje korzyści własnego zarządu. Gdy król jest dzierżawcą, co obecnie się dzieje przy wielkich łowach, to urzędnicy państwowi leśni urządzają polowanie. Że przy takiem zarządzeniu dochód z lasu na tem nie cierpi, dowodzi rzut oka na tamtejsze gospodarstwo. Wydzierżawianie polowania w wzorowo prowadzonych gospodarstwach leśnych saskich obcym ludziom, z obcym personalem, bez dotkliwego uszczerbku dla leśnictwa, byłoby według mego zdania niemożliwością. Im lepszem jest gospodarstwo lasowe, tem wieksze rozmiary przyjmują wskazane wyżej niekorzyści wydzierżawienia.

(tł. *J. Ł.*) *J. Schimpke.*



O PRZYBITKACH

przez

A. R.

(Ciąg dalszy).

W dwóch tych doświadczeniach mamy do czynienia, jak wyżej rzekłem, tylko ze strzelbami, jedną ostro strzelającą a drugą słabo, gdyż na tej podstawie każdy z powyższych rezultatów da się teoretycznie wytłómaczyć. Jeżeli potrafimy na tej samej podstawie wytłómaczyć pojedyńcze objawy brandtu, i z analogicznymi rezultatami prób powyższych zestawić, to musimy się zgodzić, że brandt jest to tylko wyraz energii kinetycznej, jaką śrót w danych warunkach posiada. Zadanie to wcale nietrudne. Aby się jednak nie powtarzać, rozważmy tylko, jak przedstawiłyby się nam doświadczenia powyższe, gdybyśmy zamiast deski i ziemi po za nią, mieli za tarczę zwierza, a mianowicie jego klatkę piersiową czyli t. zw. komorę. Jak wiadomo, składa się ona z otaczającego szeregu żeber i warstwy mięśni wraz z skórą, wewnątrz zaś mieści serce z dochodzącemi i wychodzącemi zeń naczyniami, oraz płuca. Porównując konsystencyę, a pod pewnym względem i strukturę wymienionych części składowych klatki piersiowej, możemy się zgodzić, że mięśnie otaczające wraz z skórą, oznaczać tu będą ową deskę, zaś wewnętrzne organa warstwę ziemi po za nią. Jak przedstawi nam się teraz rezultat z doświadczeń powyższych?

Skóra i mięśnie w pierwszym wypadku zostaną przebite, a otwór wchodowy śrótu będzie stosunkowo bardzo mały. Uwzględniwszy oraz i nierozrywanie włókien mięsnych, a więc i niezniszczenie sieci naczyń krwionośnych na większej powierzchni, zgodzimy się, że rana w tym razie nie zaznaczy się tak prędko farbą i nie będzie tak znaczną jak w wypadku drugim, gdzie przyczyny działające są wprost przeciwne. Zdawałoby się, że zniszczenie większe w tym właśnie wypadku dające się ocenić, będzie z korzyścią dla rezultatu. Ponieważ jednak zranienie tylko mięśni w obu razach nigdy śmierci natychmiastowej nie sprowadzi, korzyści te do minimum schodzą. Inaczej przedstawi się droga śrótu w wnętrzu komory. Tutaj ów stożek niepospolitą gra rolę. Fizyologia uczy nas, że śmierć zwierzęcia, przez rany zadane wewnątrz klatki piersiowej, następuje albo przez uduszenie, gdy rany są tak znacznych rozmiarów, że uniemożliwiają oddechanie, lub przez ubytek tego materyału odżywczego, bez którego organizm zwierzęcy nie może istnieć, t. j. krwi. Chcąc więc aby zwierzę zranione w klatkę piersiową w jak najkrótszym czasie żyć przestało, powinniśmy się starać, by zniszczenie tkanek wewnętrznych było jak największe, uzyskujemy bowiem przez to prawdopodobne oddzielenie większej ilości grubszych naczyń od serca, obok zniszczenia drobniejszych na powierzchni większej. W pierwszym wypadku droga stożkowa o znacznych wymiarach da nam o wiele większą tego rękojmię, jak w wypadku drugim. I w ogóle powiedzieć można, że im pocisk posiadać będzie większą siłę, rezultat ten będzie widoczniejszym. Działanie expresowych kul najlepiej popiera powyższe twierdzenie. — Usprawiedliwić się muszę, dla czego nie uwzględniałem w powyższem tłómaczeniu żeber, t. j. w ogóle kości i serca. Wiadomo, że śrót o słabej sile albo się spłaszczy na kości, nie naruszywszy jej całości, lub ją łamie. W miarę wzrostu siły efekt zniszczenia będzie mniejszy. Twierdzenie to ani z praktyką, ani z teoryą w sprzeczności nie zostaje. Zdawałoby się, że pożądaną rzeczą byłoby, gdyby efekt ten był jak największy. Gdy jednak uwzględnimy, że złamanie kości, jakiejkolwiekby ono było natury, zawsze jeden przynosi rezultat, zgodzimy się, że w tym wypadku śrót, posiadający siły więcej, przyczynia się do polepszenia rezultatu ogólnego, daje bowiem nie tylko rękojmię, że nie spłaszczy się na kości, lecz nadto nadzieję, że ich więcej zniszczyć może. Sądzę, że nie potrzebuję wspominać o odpowiedniej grubości śrótu.

Serce jako worek, którego ściany stanowi gruby pokład mięśni, w pozorną sprzeczność by nas wprowadziło. Jeżeli jednak wspomnę, że w ogóle naruszenie tych mięśni, a tem samem ośrodków nerwowych w nich się znajdujących, czy to narzędziem grubości igły, czy też większych rozmiarów, zawsze powoduje porażenie całego organu, a tem samem śmierć sprowadza, to tę sprzeczność usunę.

Z tego, cośmy przedstawili, nie trudno wywnioskować, że brandt, jako siła tajemnicza, w której istnienie tradycya nam wierzyć każe, nie istnieje, a jest tylko wyrazem dostatecznej energii kinetycznej, jaką dobra strzelba pociskowi zapewnić powinna.

Na tem zakończyć muszę kwestyę dotyczącą brandtu, a zboczenie, jakiego dopuściłem się, spowodowała okoliczność, że musiałbym, traktując w dalszej części przedmiot, wyjaśnić wpływ przybitki na brandt, jako oddzielną własność strzelby. Obecnie obchodzić mnie będą jedynie gęstość i siła strzału, jako faktycznie istniejące własności, więc pozwalające się ocenić i badać. Przechodząc do przerwanego przedmiotu, zajmiemy się przybitką ze względu na ostrość strzału. Przyjąć muszę, że ilość prochu, stosunek śrótu do tegoż, wykończenie luf i inne czynniki są normalne. Jakie zadanie spełnić ma przybitka w tych warunkach, aby przyczynić się do ogólnego, jak najlepszego rezultatu? Z wyjaśnieniem tego rozstrzygniemy zarazem, jakie własności ona posiadać powinna, aby zadaniu temu odpowiedzieć mogła. Ponieważ w pierwszej linii energia kinetyczna pocisku zależna jest od siły wzbudzającej ją, t. j. od stopnia jej natężenia, zajmiemy się tą siłą, a wykazując w dalszej części, o ile przybitka wpływa na uzyskanie tejże, tem samem wskażemy wpływ jej na ostrość strzału.

Jak wiadomo, proch jest producentem tej siły, należy się więc przedewszystkiem jemu pewna wzmianka, zwłaszcza że ułatwi ona zrozumienie dalszych wywodów. Głównymi składnikami prochu są: saletra potasowa, węgiel i siarka, pomięszane zależnie od gatunku prochu, w różnych, lecz nie wahających się znacznie stosunkach. Mięszanina ta, ogrzana do odpowiedniej temperatury, a szczególnie w obec ciał palących, ulega żywej przemianie chemicznej. Saletra wydziela znaczną ilość tlenu, jak to objaśnia znak chemiczny, wskazujący, że jedna jej drobina zawiera 3 atomy tego gazu. Wydzielony tlen ożywia w wy-

sokim stopniu palenie i dla tego siarka i węgiel nader szybko ulegają temuż, wytwarzając ogromną stosunkowo objętość gazów, które nadto ogrzewają się w chwili swego powstania, a nabierają przez to nader wielkiej prężności. Natężenie tej właśnie siły jest miarą energii kinetycznej udzielonej pociskowi.

Na należyte wyzyskanie tej siły składają się dwa czynniki: system t. j. jakość zapału, i przybitka. Pierwszy okaże się tem lepszym, im większą da nam rękojmię, że spalenie prochu w całej jego ilości, nastąpi w krótszym czasie. W rzeczywistości to się wtenczas uzyska, jeżeli płomień zapałowy obejmie stosunkowo jak największą powierzchnię. Wpływają na to jeszcze i inne czynniki, jak kierunek, punkt początkowy i siła płomienia zapałowego. Jasną jest rzeczą, że różne systemy pod tymi względami niejednakowo zachowywać się będą. Mimo tego, że zachowanie to wcale dotychczas wyczerpująco wyjaśnionem nie zostało, nie będę sprawą tą bliżej się zajmował, oddaliłoby mnie to od przedmiotu nadmiernie.

Gdy w jakikolwiek sposób nastąpiło już zapalenie prochu, rozpoczyna się rola przybitki. Najważniejszym momentem przy procesie spalenia jest chwila wytworzenia się pierwszej ilości gazów, tych bowiem siła rozprężliwości działa decydująco na efekt ogólny. System, któryby zapewniał zajęcie całej masy prochu przez płomień zapałowy, a więc przeprowadzenie jej jednorazowe w stan gazowy — byłby najlepszym a znaczenie przybitki i potrzebę jej do minimum by doprowadził. Tego jednak żaden z systemów dotąd istniejących nam nie zapewnia. Spalenie odbywa się zawsze mniej lub więcej nie jednorazowo. W takich warunkach przybitka odgrywać musi i odgrywa w istocie bardzo wybitną rolę, własności jej powodują bowiem właśnie zupełniejsze spalenie prochu, uzupełniając niedostatki systemu. Że to rzeczywiście następuje, można udowodnić praktycznie, gdy używając różnej grubości przybitek strzelać będziemy nad czystą powierzchnią śniegu. Ilość niespalonego prochu, dająca się łatwo spostrzedz, da nam miarę mniej lub więcej zupełnego spalenia tegoż. Wytłumaczenie tego nie trudne. Weźmy pod uwagę, jak proch spaliłby się bez użycia przybitki. Prężność gazów powstałych w pierwszej chwili, chociażby była bardzo małą, wystarczy już na przezwyciężenie oporu tarcia warstw prochu nie spalonego, powodując z jednej strony spalenie się tegoż w całej długości lufy, z drugiej zaś wyrzucenie znacznej ilości ziarn nie spalonych jeszcze na zewnątrz. Inaczej przedstawi się ten proces przy użyciu przybitki. Opór jej powoduje, że niejako oszczędzamy na czasie potrzebnym do spalenia jak największej ilości prochu. Czas ten naturalnie to jakaś setna cząsteczka sekundy, jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę szybkość, z jaką wybuch prochu następuje, pojmiemy, że ta drobna chwilka nader wybitne ma znaczenie. Zdawałoby się, że regulując, co możemy, opór, jaki stawiać ma przybitka, zregulujemy i siłę strzału. Do pewnych granic da się to istotnie w praktyce zastosować. W ogóle powiedzieć możemy, że jeżeli lufa prawidłowo jest wykończoną, przy innych normalnych czynnikach, przy każdym systemie dojść możemy przez użycie odpowiedniej przybitki do zadowalających rezultatów.

Wpływ luf tj. ich wykończenia wewnętrznego, niezmiernej jest tutaj doniosłości. Gdy lufa sumiennie jest wypracowaną, posiada światło w każdem miejscu jednakowe, lufę taką za dobrą uważać należy, gdyż jak to z praktyki wiemy, sposobi się najlepiej do celów myśliwskich.

Gdy lufa własności tych nie posiała, wnętrze jej nie gładkie, a co gorsza faliste, taka nie da nam nigdy prawdziwie dobrych rezultatów. Wyłączając z pod uwagi gęstość strzału, rozpatrzmy, jak na ostrość wpływać będzie taki wytwór nieudały, niestety zbyt dobrze znany, bo rozpowszechniony. Warunki wybuchu prochu są te same, więc w tym różnica nie zajdzie. Siła działająca będzie taką samą, a pocisk nabędzie tej samej energii kinetycznej, lecz tylko w chwili wyruszenia ze swego położenia pierwotnego. Przy lufach prawidłowych od tej chwili posuwa się przybitka jednostajnie, nieco tylko zwiększając swą chyżość, śrót zaś w ruchu zatrzymuje pierwotne ułożenie. W lufach powyżej opisanych zależnie od większej lub mniejszej wadliwości, najrozmaitsze kombinacye zajść mogą. Tarcie niejednostajne przybitki, przechodzenie gazów do śrótu, ustawiczny ruch tegoż w całej masie, osadzanie ołowiu i t. d. wpływają jak najgorzej na gęstość i ostrość strzału. Czy może odpowiednich własności przybitka i w tym razie ostrość strzału zapewnić? Odpowiedź na to bardzo względna. W każdym jednak wypadku wyjątkowo sama przybitka zdziałać coś może. Jeżeli energia kinetyczna śrótu już w lufie zostaje zmniejszona przez wykonywanie pracy takiej jak przezwyciężenie najrozmaitszych oporów, zgodzimy się na to, że aby jej zachować normalną ilość mimo tego, musimy powiększyć siłę działającą, t. j. ilość prochu. Przy normalnej ilości prochu i odpowiedniej przybitce, a rozumie się zachowanym stosunku śrótu, odczuwamy t. zw. kopnięcie w strzale, które jest miarą oddziaływania, oporu przybitki i siły rozprężliwości gazów, działającej na dno łuski nabojowej. Ponieważ my odczuwamy tylko część jedną tej siły, nie uwydatnia się ona dla tego zbyt dotkliwie. W tym razie jednak, aby wadliwą strzelbę taką doprowadzić do możności pełnienia wystarczających bodaj usług, możemy dojść do takiego oddziaływania, że użycie strzelby takiej staje się niemożliwem. Nie wiedząc jednak co jest przyczyną złego, polujemy z nią i twierdzimy, że nie posiada brandtu, że system jest złym i t. p.

Rozpatrzmy teraz, o ile przybitka wpływać może na gęstość strzału. W przeważnej ilości wypadków staraniem naszem jest uzyskać jak największą siłę strzału, gęstość więc przy normalnej ilości śrótu zależeć będzie li tylko od luf. Gdy te będą prawidłowo wykończone, uzyskamy dostateczną ostrość, uzyskujemy zarazem i wystarczającą gęstość. Jednakże przybitka do pewnych granic i pod tym względem może się stać regulatorem. Ażeby to zrozumieć, musimy się zastanowić nad czynnikami, powodującymi rozrzucanie śrótu, a wyjaśniając o ile przybitka na to wpływa, rozwiążemy to zagadnienie. Czynniki te są dwa: 1. działanie powietrza, 2. siła odśrodkowa.

Nabój śrótu składa się jak wiadomo z ziarn, które warstwami spoczywają na sobie. Ułożenie ziarn w warstwie może być dwojakie: 1. Środki geometryczne ziarn stykających się połączone, tworzą trójkąt (równoboczny naturalnie, jeżeli wielkość ziarn, co przypuszczam zawsze, mając na myśli nabój śrótu, jest jedna i ta sama), a więc 3 ziarna stykają się między sobą, czyli jedno wchodzi między dwa drugie. 2. Środki połączone tworzą kwadrat, czyli stykają się 4 ziarna między sobą i leżą jedne nad drugiemi. Między temi dwoma typowemi ugrupowaniami mogą istnieć, rozumie się, liczne stany pośrednie. Jakiekolwiek

by było ugrupowanie śrótu, zawsze po wyjściu z lufy ulega tenże działaniu siły, a mianowicie oporowi powietrza i sile ciężkości. Siły te sprawiają, że chyżość śrótu z czasem staje się równą zeru, a linia, jaką biegło ziarno, nie jest prostą, lecz krzywą (parabolą). Gdyby cała masa śrótu była jednolitą, to działanie tych sił tylko w tym rezultacie by się objawiło.

Nabój śrótu jednakże będąc złożeniem luźnych ziarn, nie może zachować się w obec sił działających tak, jak kula. Opór powietrza prócz opisanego wpływu, wywierać będzie w tym razie inny jeszcze, nie mniej ważny. Każde ciało przesuwając się, zależnie od powierzchni i chyżości, zagęszcza przed sobą mniejszą lub większą ilość powietrza. Jeżeli powierzchnia, wystawiona na działanie, jest taką, że wypadkowa z oporów powstałych z tego zagęszczania, działa na nią prostopadle, a kierunek jej wprost przeciwny kierunkowi ruchu przechodzi przez środek ciężkości ciała, to nastąpi tylko zmniejszenie chyżości, z jaką ciało się posuwało. W naszym wypadku śrót jako ciało o powierzchni kuli w jednostce tak się zachowuje, lecz w masie zachowanie to jest pod pewnym względem odmienne. Przy ruchu pojedynczego ziarna wyrównanie prężności powietrza otaczającego i zagęszczonego jest na danym przekroju zupełnie jednakowe w każdym tegoż punkcie, podczas gdy w tym wypadku, gdzie mamy do czynienia z całym nabojem, wyrównanie to nigdy jednakowem nie będzie. W naboju ziarna pojedyncze stykają się między sobą, a powstałe w ten sposób przestwory, są za małe, aby nastąpić mogło takie wyrównanie. Z powodu tego zagęszcza się pewna ilość powietrza między ziarnami, a wypadkowe z sił z zagęszczenia tego powstałych, mają tendencyę do odchylenia ziarn od kierunku ruchu, t. j. od linii celnej, a właściwie osi lufy. Pierwsza warstwa będzie wystawioną najpierw na takie działanie, ulegnie też temu najwcześniej, ziarna skrajne pierwej niżeli środkowe, siły bowiem opisane działają między temi ostatniemi początkowo z wszystkich stron z jednakowem natężeniem i przyczyniają się tylko do zmniejszenia chyżości tychże. Ziarna jednak najzewnętrzniejsze zostają pod wpływem sił tych jednostronnie, muszą więc odchylić się od pierwotnego kierunku, a wstawa kąta tego w miarę odległości co raz się zwiększać będzie. Gdy odchylenie ziarn najzewnętrzniejszych nastąpiło, wchodzi drugi szereg tychże w te same warunki. Jeżeli szeregi te w pojedynczych warstwach były dokładnie w kołach koncentrycznych ułożone, to środkowe ziarno jedynie nie ulegnie odchyleniu, gdyż tu siły zawsze ze wszystkich stron działać będą i dadzą wypadkową w przeciwnym kierunku do siły pierwotnej, czyli kierunku, w jakim ruch się odbywa. Uwzględniając tylko pierwszą warstwę, teoretycznie ziarna bliżej środka leżące, ponieważ odchyleniu później ulegają, będą centrowniejsze. Uwzględniając warstwy dalsze, natrafiamy na rozliczne kombinacye. Tutaj rodzaje ułożenia ziarn powyżej opisane, a bardziej pośrednie stany tegoż, nie mało trudności dostarczają w przedstawieniu zwięzłem rzeczy. Kombinacye te zależne od tak trudno kontroli ścisłej poddającego się ułożenia ziarn w łusce nabojowej, obok innych wpływów, przyczyniają się do tego, że z jednej i tej samej strzelby strzelając nabojami według naszego pojęcia, dokładnie jednakowo napełnionymi, dwa strzały nigdy też same, t. j. identyczne nie będą. Mniejsze lub większe oddalenie kształtu śrótu od normalnego, t. j. kulistego, stan wilgotności i jakość prochu w całej masie, stan zanieczyszczenia lufy, wyżej opisane ułożenie i td., niepodobieństwem jest środkami, jakimi człowiek dysponuje, do tożsamości sprowadzić, a ponieważ tylko te same przyczyny skutki jednakowe sprowadzają, jasną jest rzeczą, że nigdy pod tym względem do całkowicie dokładnych rezultatów nie dojdziemy.

Wymienione skomplikowane działanie sił, jakiemu nabój śrótu w ruchu swym podlega, nie pozwalają ująć procesu tego w ścisły szemat. Teoretycznie szemat taki dałby się przedstawić, lecz tylko dla pewnych warunków, z wyeliminowaniem innych kombinacyj. Ponieważ jednak wyeliminowanie takie w praktyce jest niemożliwem, szemat ten prócz teoretycznej, wartości praktycznej posiadać nie może, nie przedstawiam go też tutaj dla tych powodów. Odmiennej natury siła, działająca na odbywający ruch pocisk śrótowy, jest siła odśrodkowa. Wywiązuje się ona w czasie przebiegu tegoż przez lufę i działa również na odchylenie ziarn od normalnego kierunku. Zdawałoby się, że sile tej nie możemy przypisywać większego znaczenia, gdyż promień krzywizny, po której śrót się posuwa, jest nieskończenie wielki, a do tegoż siła ta stoi w odwrotnym stosunku. Jednakże stoi ona w prostym stosunku do kwadratu z chyżości, a ta jest w tym wypadku znaczna, wywiera więc wpływ na ogólny rezultat.

Najważniejszą jednak siłą, oddziaływującą na tenże, jest siła powstała przez zgęszczenie powietrza między ziarnami śrótu, inne bowiem, mniej więcej jednakowe rezultaty przy zmianie warunków; a przy tem samem wierceniu luf, powodują, lub z nią współdziałają. Jeżeli w jakikolwiek sposób siła ta powiększoną zostanie, nastąpi rozrzucenie większe. Powiększenie zaś nastąpi wtenczas tylko, jeżeli chwilowe zgęszczenie powietrza uzyskamy w stopniu większym, a na to wpływa tylko chyżość, z jaką nabój się posuwa. Chyżość jedynie zależną jest od wyzyskiwania siły rozprężliwości gazów, powstałych ze spalenia prochu; znając już czyniki, jakie na wyzyskanie to wpływają, i że stopień tegoż jest miarą ostrości strzału — kwestyę tę łączymy z poprzednią. Wynika z tego, że gęstość stoi niejako w odwrotnym stosunku do ostrości.

O ile jednak stosunek ten zależności jest stałym? Przy lufach prawidłowo wierconych, jak to wyżej nadmieniłem, uzyskawszy ostrość strzału dostateczną, otrzymujemy wystarczającą zupełnie jego gęstość. Używając luf wadliwie wykończonych, rezultatu tego nigdy w zupełności nie otrzymamy. Wszelkie wady ich, nieznaczne stosunkowo, wpływać będą bardzo wybitnie w ujemnym kierunku na tenże. Prócz sił bowiem opisanych już, w lufach takich działających na rozrzucenie, przyczyniają się do zwiększenia tegoż najrozmaitsze opory, powodujące ruch śrótu w lufie niejednostajny, w całej masie i w pojedynczych ziarnach. W miarę wadliwości luf, ruchy te będą znaczniejsze, a rezultat tem gorszy. W takich wypadkach użycie słabej przybitki wprawdzie może dać niejaką rękojmię większej gęstości strzału, kosztem jednak jego siły, o czem nie wiedząc, niejeden doprowadziwszy swą strzelbę do tego stopnia, narzeka, że ta miękko strzela, lub całą winę na system składa.

O wiele mniejsze znaczenie przypisać musimy przybitce używanej na śrót. W wielu razach możemy nawet obejść się bez jej użycia, nie przynosząc tem szkody dla rezultatu. Teoretycznie przybitka ta zapewnić tylko powinna niewysypywanie się śrótu. (Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Lisowice 31. Października 1886.

Życie myśliwskie jest jednem ciągłem pasmem niespodzianek i rozczarowań, rozkoszy i zawodów. O tem każdy na pewno wie, a jednak któż się nie lubi karmić nadzieją, że wynik łowów będzie zawsze najpomyślniejszy i ziści najdalej idące marzenia, zwłaszcza, jeśli z danych okoliczności można przypuszczać świetny rezultat zabiegów łowczych. Kto z uczestników polowań lisowickich, wiedząc, że w lecie było sześć niedźwiedzi w naszych rewirach, byłby przypuszczał, że nie będzie strzału do tego zwierza? A jednak tak się stało. Ażeby dać wierny obraz wypadków, muszę się cofnąć o parę miesięcy w tył, kiedy z raportów straży łowieckiej dowiedzieliśmy się z radością, że w rewirach naszych trzyma się stale 6 niedźwiedzi, a to niedźwiedzica z trzema piastunami i dwa pojedyńcze wielkie niedźwiedzie. Dodać winienem, że doświadczenie lat ostatnich uczyło nas, że niedźwiedź obrawszy sobie z wiosną lub w lecie siedzibę w naszych rewirach, nie opuszczał takowych nigdy, dopiero w zimie zabierając się do gawry, przypuszczaliśmy zatem, że i w tym roku tak będzie, inaczej się stało. Na nieszczęście nasze kontrakt dzierżawy polowania zawiera punkt, uprawniający rządową straż leśną do zabicia szkodliwej zwierzyny w każdej porze roku, gdziekolwiek by została spotkaną. W Czerwcu tedy b. r. rządowy strażnik lasowy jadąc z kilkunastu furami po drzewo, spotkał na drodze całkiem niespodzianie ową niedźwiedzicę z trzema piastunami, strażnik opierając się na punkcie kontraktu a mając strzelbę nabitą śrótem, strzelił dwa razy i ubił dwa piastuny na *coup double*. Niedźwiadki te nie były większe od dobrego zająca. Po tych strzałach niedźwiedzica wbrew utartemu mniemaniu, że niedźwiedź rzuca się na myśliwego, przerażona prawdopodobnie wielką ilością ludzi, zaczęła umykać nie oglądając się na pozostałego jedynaka, który nie mogąc za matką zdążyć, z tyłu pozostał. Strażnik z parobkami w tej chwili drogę mu zabiegają i łapią niemowlę żywcem, ażeby je potem kijami zatłuc. Osierociała matka powracała potem przez kilka nocy na miejsce, gdzie jej ubito dzieci i głośnym rykiem skarżyła się na swoją niedolę, aż w końcu odeszła w głębokie góry. Po tej katastrofie zostały jeszcze dwa niedźwiedzie, które wszelako wystraszone hukiem wystrzałów dynamitowych rozsadzających skały, opuściły nasze knieje dnia 12. Października, t. j. na 7 dni przed rozpoczęciem polowań. Przybywszy tedy do Lisowic dnia 20. Października, w obec rozwiania się nadziei spotkania z niedźwiedziem, postanowiono, pozostawiając dziki na zimę, polować przeważnie na słonki, których w tym roku jak w całym kraju, tak i tu było wiele, i tak w jednym dniu padło ich 21. Zważywszy tedy, ile nie wyleciało z gąszczy, ile uszło bez strzałów i pewien procent chybionych, można sobie wystawić, jaka była mnogość tych wędrownych ptaków. Jak wyżej powiedziałem, na dziki nie polowano, przypadkiem tylko tu i ówdzie spotykano je, padło ich ogółem 5 sztuk i to same odyńce. Najpiękniejszym zwierzem zabitym na tegorocznem polowaniu był prześliczny żbik, nie bywałej wielkości i przedziwnie znaczony. Miot ten, w którym padł żbik, miłą po sobie pamięć zostawił, padło bowiem w tym miocie oprócz żbika, odyniec, rogacz, lis i jarząbek.

Jarząbków w tym roku było bardzo wiele, pomimo, że lisy niesłychaną między nimi robią szkodę, padło jarząbków 39. Kiedy już wspomniałem o szkodnikach myśliwskich, nie od rzeczy będzie podnieść i tę okoliczność, jak zajadłym wrogiem zwierzyny są drapieżne zwierzęta domowe jakoto psy i koty. W niejednym rewirze, zanim właściciel poprzysięgnie zagładę lisom choćby za pomocą trucizny, pozbawiając tym sposobem knieję jednej z większych ozdób, możeby było odpowiedniej tępić bez względu wszystkie psy i koty wałęsające się niby bez celu po lasach i polach. Przykład drapieżności psa widziałem sam, podczas miotu bowiem, kiedy nagonka goniła, jamnik jakiś z zawodu kłusownik stanąwszy jak się zdaje na przesmyku, rzucił się na pomykającą kozę i zagryzł ją w oczach nagonki, ale wkrótce otrzymał zasłużoną karę. To jeden wypadek jako przykład, lecz któż zliczy podobne zdarzenia, które uchodzą bezkarnie i bez wiedzy ludzkiej. Nadmienić w końcu muszę, że już i w ciągu trwania jesiennego sezonu mieliśmy chwilkę nadziei spotkania się z niedźwiedziem, świeży trop zobaczono na błocie, serca gwałtowniej zabiły, ale niedźwiedź tylko przeszedł przez rewiry, i nie zatrzymał się nigdzie.

Pomimo jednak braku niedźwiedzia polowanie pięknie się udało, rezultat zupełnie zadowalający nawet najwybredniejsze wymagania, padło bowiem ogółem, rachując ubite przez rządową straż leśną: 3 niedźwiedzie, 1 żbik, 5 odyńców, 14 rogaczy, 55 zajęcy, 23 lisów, 2 cietrzewie. 39 jarząbków, 55 słonek, 3 sowy uralskie, 2 jastrzębie gołębiarze, 1 pies — razem sztuk 203, na strzałów 523.

Grono nasze poniosło w tym roku dotkliwy ubytek. Nestor łowiectwa krajowego, znakomity ornitolog, jeden z założycieli naszego Towarzystwa i długoletni kierownik łowów, hr. Kazimirz Wodzicki, przez wzgląd na zdrowie swoje opuścił nasze Towarzystwo, pozostawiając po sobie pamięć niezrównanego kierownika myśliwstwa i najmilszego towarzysza łowów. Lisowczycy jednomyślną uchwałą postanowili uprosić ustępującego towarzysza, aby ilekroć mu zajęcia i zdrowie dozwolą, zechciał w przyszłości w charakterze honorowego członka dom i knieje lisowickie zaszczycić swoją obecnością.

Z. P.

Wolica 8. Października 1886.

Są chwile w życiu człowieka, które jak meteory świecą na tle dalszego życia, są to dnie, na których wspomnienie twarz rozjaśnia uśmiech, wewnątrz, gdzieś w okolicy serca przechodzi miły dreszcz, człowiek czuje się lepszym, weselszym, silniejszym do pracy i trudów. Czem więcej takich jasnych chwil w życiu, a mniej smutnych, tem człowiek szczęśliwszy. Chwile te świetlane nie giną nigdy, może być, że przez czas trochę się zatrą, trochę zbledną, ale zawsze błyszczą, ale zawsze wyróżniamy je w umyśle naszym z pośród tysiąca innych. Dla mnie chwilami takiemi zawsze były i są polowania na jelenie na rykowisku, urządzane przez dawnego drogiego sąsiada mojego p. Zię...

W tym roku na łaskawe zaproszenie kochanego gospodarza zebraliśmy się i stanęło nas sześciu gotowych do nogi wygubić cały ród jeleni, gdyby nie strach przed ustawą, nie wyraźna sympatya gospodarza dla płci pięknej rodu jeleniego i gdyby... się dały, to jest gdyby nie były tak przemyślnemi

jak są i nie posiadały tak delikatnych zmysłów słuchu i powonienia, gdyby nie to i owo, ale nic przyjemniejszego, weselszego i serdeczniejszego to pewne, bo niech sobie kto wyobrazi sześciu myśliwych namiętnych, oddzielonych od świata cywilizowanego górami i lasami, w których w bród jeleni, bez trosk w tej chwili, bez kłopotów, z spiżarnią zaopatrzoną znakomicie w pokarmy i napoje, z czterma sworami takich piesków, że niewiedzieć któremu dać pierwszeństwo, bez irytujących gazet i nudnych korespondencyj, mających jedynie za cel polować i bawić się, przytem posiadających świetne humory, a do tego nie mających pomiędzy sobą ani jednego śledziennika ani zarozumialca, ani goga, ani wygodnisia. Otóż niech sobie kto przedstawi takie zebranie, a będzie mógł mieć wyobrażenie, jak nam te kilka dni upłynęły, całe 5 dni, które razem przepędziliśmy, były jednym dowcipem, jednym śmiechem, jednem zadowoleniem z siebie i innych, czy który strzelał czy nie, czy widział jelenia lub tylko słyszał go idącego, wszystko to było nam jedno, nikt się nie skarżył i nikt nie tracił humoru. A ów wyjazd w góry na koniach, urozmaicony rwaniem się w najstromszych miejscach popręgów, zsuwaniem się z koni myśliwych, nie posiadających siodeł, podcinaniem jeden drugiemu konia, a to śniadanie, przerywane gonem psów, bieganiem na stanowiska, powrót na nocleg w opuszczone popowstwo, w którem zakwaterowaliśmy się, a te noce bezsenne spędzone na pogadankach, na sypaniu do nosa zbyt silnie chrapiącym rozmielonego tytoniu, łechtanie ich słomką, trąbienie za uszami, wszystko to stoi mi przed oczami, i wywołuje życzenie: „oby raz tak jeszcze“.

Polowaliśmy zatem w sześciu nie licząc leśnych, którzy psy podkładali, z czterema sworami gończaków, które naturalnie nie puszczaliśmy naraz, lecz sworami. Z doświadczenia zyskanego na tem i na innych polowaniach, ostrzegam panów myśliwych, aby nigdy na jelenia nie puszczali razem wszystkie psy gniazdowe, bo się uniesą i pójdą za jeleniem światami. Jelenie obkładały nam jak zające, a pomimo tego wróciliśmy z polowania nie z tak świetnym rezultatem jakby być powinno. I tak na leśniczego p. Z. wyszedł prześliczny rogacz, jak sam powiada, że jeszcze takiego nie widział, wyszedł stępo i stanął mu rycząc na kroków czterdzieści, on mierzy, mierzy, mierzy, nareszcie bach! i trafia w sam środek... buka.

W innym miocie psy podłożono, a gdy myśliwi stali już na swych stanowiskach, podszedł pod nich jeleń rogacz, przez długi czas chodził od jednego do drugiego gąszczem, wietrząc na wszystkie strony niespokojnie, nareszcie wyszedł na jednego z nich na strzał, ten strzelił raz, poprawił drugi raz, a jeleń uszedł farbując. Opowiadaczowi waszemu zechciało się, aby przyjść łatwiej do strzału, iść z psami, gdym więc sprowadził leśnych na dół do potoku i pokazał im, jak i skąd psy podłożyć mają, zacząłem się z powrotem drapać pod górę, idę tedy chwytając się rękami za buczki, aby się łatwiej na usuwających się kamieniach utrzymać, sztuciec naturalnie na ramieniu i kurki spuszczone, ponieważ jeszcze psy nie ruszyły nic, li siurka rozpięta, idę zatem ale mi już tchu nie staje, bo co zrobię dwa kroki naprzód, to jeden w tył, zatrzymuję się zatem na chwilę, aby tchu złapać i dać folgę zforsowanym nogom, a w tem na sześćdziesiąt kroków przedemną na drożynie którą szedłem, przesuwa mi się poważnych rozmiarów rogacz z rogami prawie czarnymi po sobie położonymi, robi tylko dwa kroki i ginie mi w gąszczu, nim zdołałem oprzytomnieć i strzelbę z ramienia ściągnąć, już go nie było, bo szerokość drogi wynosiła zaledwie 2 metry, psy go zaraz trafiły, lecz nie wyszedł już ani na mnie ani na żadnego z mych towarzyszów. Wzięliśmy tylko jednego czternastaka, a szczęśliwym strzelcem, na którego wyszedł, był znany w całem Sanockiem i doskonały myśliwy p. M. bratanek naszego wieszcza. Jak twardym jest jeleń, można się było przy tym strzale przekonać, trafiony śmiertelnie, kula Nr. 0 z Teschnerówki przeszła go na wylot po strzale natychmiast upadł, potem się zerwał i szedł kilkaset kroków i jeszcze dwa strzały padły do niego.

Właściwie zabiliśmy dwa jelenie, bo i wyżej wspomnianego do którego padły dwa strzały, wzięli Węgrzy już leżącego tuż za granicą, obok której polowaliśmy. Gdzie i jak dostał, trudno mi wiedzieć, bo naturalnie, że nie mogliśmy pójść sprawdzić. Już trzeciego jelenia biorą nam Węgrzy, jest coś w tem dziwnego, że jeleń postrzelony zaraz wynosi się na węgierską stronę, czy czuje tam większy spokój? Nie, bo i my polujemy tylko raz w rok na jelenie. Mieliśmy również szczęście widzieć kilka łań, a jedna z nich tak blisko przeszła obok p. L, że mógł ją kolbą trącić, w ogóle łanie nie są tak ostrożne jak rogacze, co także i u sarn zauważałem Trzeciego dnia polowania służba czy przez złe zrozumienie rozkazu czy przez nieuwagę podłożyła wszystkie psy razem, niestety trafiły łanię, która obłożywszy dwa razy pod samemi stanowiskami myśliwych, nareszcie przeszedłszy obok jednego z nich tak, że o mało nagniotków mu nie zdeptała, wzięła ze sobą psy, z których tylko 5 w parę godzin wróciło, a reszta przepadła, dopiero jadąc z polowania dowiedzieliśmy się, że suka „Wisła“, matka rodu i ulubienica kochanego gospodarza, wróciła do domu tegoż dnia rano, a więc w przeszło trzy doby od czasu podłożenia i o 7 mil od miejsca, gdzie polowaliśmy. Gospodarz nasz p. Zię... tak był ucieszony odszukaniem suki, że aż łzy radości zaszkliły mu się w oczach. Co się z pozostałymi dwoma psami stało, nie wiem, bo wyjechałem, zanim jakakolwiek wiadomość o nich przyszła. Biedny Komar i Trafisz, pewnie je już wilki zjadły.

Dzików w Sanockiem takie mnóstwo, jak już od niepamiętnych czasów nie było, czeka je porachunek na ponowie za poniszczone żyta i ziemniaki.

Na tem polowaniu widziałem tak znakomicie odrobioną strzelbę systemu Teschnera o jednej lufie gładkiej a drugiej expres, że właściciel tejże p. L. odstrzeliwał z niej kulami wierzchołki drzew, strzelba znakomita, ale też i oko do pozazdroszczenia, zważywszy, że p. L. strzela tylko z jednej ręki, bo drugą na polu sławy zostawił.

Wracając jeszcze raz do jeleni, zaznaczam fakt, że tylko w jednych jedynych Stuposianach jelenie zimują, chociaż właściciel tegoż majątku na nie tylko z psami poluje, z innych zaś kniei w tej okolicy wynoszą się po spadłych pierwszych śniegach do Węgier, pomimo tego, że nie były ruszane przez cały rok. Nadmieniam przytem, że knieja stuposiańska niczem literalnie nie różni się od kniei innych w tejże okolicy. Co Panowie nieprzyjaciele gończaków powiecie na to? Ja utrzymuję opierając się na dłuższem doświadczeniu, że pies w miarę użyty i n. b. nie chodzący samopas do lasu, nie zdolny jest rozpędzić zwierzyny. Dziadowie i ojcowie nasi nigdy inaczej nie polowali, a daj nam Boże takich łowów, jakie oni mieli, niech tylko u nas nie polują bez dozoru kucharze i leśni, niech im w tem nie pomagają zbierani ze wsi strzelcy, a przy ustawie, jaką mamy, jeżeli tylko będzie szanowaną i wypełnianą, będziemy mieli tyle zwierzyny, ile jej być powinno.

Na dowód jak można w górach polować z nagonką, podaję fakt. Około 20. września zjechały się głowy ukoronowane francuskie, spadkobiercy hr. Chamborda na polowanie do Łomny,

majątku położonego w Sanockiem, należącym do masy spadkowej, przywiózłszy ze sobą Jagd i innych majstrów, podgonki oprócz leśniczych i leśnych było przeszło 300, polowali pierwszego dnia w rewirze zwanym „Magóra“, rewirze znanym na całą a nie ubogą w zwierzynę okolicę z mnóstwa sarn i zajęcy, w rewirze. w którym z psami zabijało się nieraz w dwóch lub trzech myśliwych po 8 rogaczy jednego dnia, polowali zatem cały dzień i zabili, wiecie co, dwa zające; w drugim dniu znów w innym rewirze po całodziennym wrzasku i krzyku rezultatem było wielkie nic, a podgonka ściągała przez 24 godzin do domu zbłądziwszy w jarach, potokach i łomach, a przecież to ludzie z tej samej wsi i nie dzieci lecz chłopi dorośli. Książetom już dosyć tych dwóch dni było i tego polowania, z którego wynieśli tylko doświadczenie o sile piersi, nóg i głosu naszego rusina. Ktoś chciał zaproponować na trzeci dzień polowanie z psami, ale na sam wyraz „psy“ facyaty panów majstrów ze zgrozy pobladły. Mógłbym więcej takich przykładów wyliczyć, gdzie jeden ubity zajączek kosztował setki reńskich, gdzie ludzie zgłodzeni w kilka dni dopiero z pogonki zbłądziwszy ściągali się do domów, ale na co to się zda, zaślepieni, którym się zdaje, że rozmnożenie zwierzyny jedynie tylko przez zaprzestanie polowania z psami wykazać się może, nie uwierzą mi, a jeżeli uwierzą, to powiedzą sobie, że było źle prowadzone i kwita. Nie jestem ja przeciwny podgonce bezwarunkowo, owszem powiadam i zawsze powiem, gdzie tylko możebne, niech ona będzie użytą, niech polują z podgonką, aby tylko nie za często, bo to jeszcze gorzej i łatwiej wystraszy zwierzynę jak psy, bo te przecież gonią jednę tylko sztukę naraz, a podgonka rusza wszystkie odrazu w całym miocie. *Wł. Zaleski.*

Serock (pod Lubartowem).

Smutnym jest rok bieżący dla amatorów polowania z wyżłem. Po strasznej klęsce, jaką zadała ostatnia zima naszym kuropatwom, polować na nie nie będzie żaden szanujący się myśliwy; niedorostki tylko, kłusownicy i nie wiele więcej warci od nich miejscy „niedzielni strzelcy“ (naturalnie wyjątki są wszędzie) pozwalają sobie tego. Trudno rzeczywiście było przypuścić, by klęska była tak znaczną. W ubiegłym roku przez trzy tygodnie, bo tyle tylko polowaliśmy na kuropatwy, w czterech zabiliśmy ich sztuk przeszło 500, a z pewnością więcej, niż drugie tyle zimy doczekało. Koło dworu, gdzie kuropatwy miały urządzoną sztuczną remizę, na pierwszych śniegach było ich siedmdziesiąt kilka. Pomimo obfitego pożywienia pod koniec ilość ta o połowę się zmniejszyła. Sądziliśmy jednak, że przynajmniej z 10 stad będziemy mieli na folwarcznych polach, tymczasem znalazły się tylko cztery, liczące razem 53 sztuk. Na stuwłókowej przestrzeni kolonii, gdzie polowanie wyłącznie należy do mego stryja i gdzie ubiegłych lat miewaliśmy zawsze obfitość kuropatw, rozpytywani koloniści o paru zaledwie stadkach wiedzieli. Przy domu kuropatwy były oszczędzane, karmione i miały remizę, a tak niewielka ilość przetrwała surową zimę, cóż więc dziwnego, że w odleglejszych miejscach, gdzie koloniści bezpieczniej brożkami lub bronią palną tępić mogli biedne kurki, nieliczne tylko wiosny doczekały.

Ze skruchą przyznać musimy, że w naszej okolicy bardzo mało dotąd robi się dla ochrony zwierzyny. Ot i tej zimy bliżej nas wskazać mogę zaledwie kilka majątków, gdzie kuropatwy w zimie karmiono. To też jest ich choć trochę w Brzeźnicy Bychawskiej, Pałecznicy, Berejowie, dalej w dobrach Kozłowieckich. Gdzieindziej cieszono się nawet, że tak łatwo można było dostać na stół tej wybornej zwierzyny i strzelano ją na śniegu. W Pałecznicy i Brzeźnicy zastawiano żelaza na jastrzębie, złapano tam 19 samych gołębiarzy, ileż to, dzięki temu, kuropatw zostało przy życiu! Żelaza te prostej bardzo budowy, składają się z niewielkiego krążka drewnianego, na którym osadzone są dwie zębate klamry, zamykające się za najlżejszem pociśnięciem łączącej je sprężyny. Łapki te warte są jak najszerszego rozpowszechnienia.

Na dobrą sprawę rok przerwy w polowaniu na kuropatwy nie jest wystarczający, wartoby jeszcze i w roku przyszłym wyrzec się tej przyjemności. Umartwienie to nie małe, ale nadzieja korzyści powinnaby zwyciężyć.

Polowanie na ptactwo błotne nie dopisało nam także w tym roku. W skutek straszliwej suszy nieliczne zresztą nasze błota wyschły zupełnie, nie tylko jednak u nas, ale i w prawdziwie „dubelcich“ miejscowościach susza uniemożliwiła polowanie.

Bawiłem w tym roku parę tygodni w okolicy Chełma, gdzie w ogóle, a szczególniej pod Dorohuskiem, dubeltów biją co rok nie mało; następnie byłem w powiecie Ihumeńskim gubernii Mińskiej, gdzie kilkadziesiąt bekasów zabija zwykle na jednem polowaniu przeciętny niezły strzelec, a ani razu nie udało mi się przynieść więcej nad sztuk 12, choć zbytnio nie pudłowałem. Prawda że byłem tam dopiero w drugiej połowie Sierpnia, ale i w czasie najliczniejszych ciągów trudno tam było do trzydziestki dojechać. Gdy nadszedł Wrzesień, a żyłka myśliwska nie dawała usiedzieć w domu, brałem mą Lankastrówkę i wiernego settera Erga i szedłem w pole i łąki wczesnym rankiem lub pod wieczór, gdy upał zbytnio nie dokuczał, by po kilku godzinach wrócić do domu z kilku przepiórkami i jednym lub najwięcej dwoma na raz kszykami, które pojedynczo zapadały na szlamowatych brzegach niecieczy. Zające często spotykałem, stan ich jest, zdaje mi się, w tym roku wcale niezły, pocieszamy się więc, że polowanie zimowe wynagrodzi choć w części przymusowe letnie rekolekcye.

Kończąc mą gawędę, wspomnę o oryginalnem wydarzeniu, jakie miałem w ostatnich dniach Wreśnia. Jechałem wraz z dwoma towarzyszami do powiatowego miasta drogą wiodącą przez las Serocki. Broń miałem przy sobie, a w kieszeni cztery ładunki, trzy nabite śrótem nr. 6 a jeden kulą, na wypadek nie rzadkiego zresztą w naszych stronach spotkania z wilkiem. Rozmawialiśmy o widokach tegorocznego polowania w kniei, przez którą przejeżdżaliśmy, gdy wiozący nas woźnica przerwał nam słowami: „Panie, lis!“ Rzeczywiscie w odległości jakich stu kroków wytknął z gąszczu lisiura (a była to godzina 2 po południu) i wolno przeszedłszy prawie całą szerokość drogi, na samym jej brzegu stanął. W pośpiechu nie mogłem znaleźć w kieszeni ładunku z kulą, a drobnym śrótem z tej odległości strzelać nie chciałem, nie znalazłszy jednak, włożyłem dwa ładunki, jakie w rękę wpadły i zmierzyłem do lisa, który tymczasem siadłszy na zadzie, jak pies, najspokojniej drapał się za uchem. Byliśmy wtedy od niego o kroków może 80, pociągnąłem za cyngiel jeden, drugi klap! klap! obydwa ładunki nie wypaliły, co mi się jeszcze nigdy dotąd nie wydarzyło. A lis, jakby urągając, posiedział jeszcze chwilę, ruszył w końcu wolno, ale o parę kroków za drogą stanął znów na luce, założyłem już nowy ładunek i palnąłem. Lis podskoczył w górę, machnął kitą i poszedł w las. Poskoczyłem za nim z psem i o 50 kroków znalazłem go rozciągniętego bez życia. Dostał kilka ziarn w komorę, i temu zawdzięczam, że z odległości przeszło 70 kroków tak drobnym śrótem zabić go mogłem. Był to młody pies, ale w każdym

razie dziwi mnie niepomiernie brak w tym wypadku owego przysłowiowego lisiego sprytu i ostrożności. Widocznie miał śmierć z mej ręki zapisaną w księdze przeznaczeń.

W tych dniach w Skierniewicach na polowaniu urządzonem dla jednego z wielkich książąt, zabito 750 bażantów.

B. G.

Z Krakowskiego (Król. Pol.).

Tegoroczne polowania w Górach u pana J. Dembińskiego odbyły się w dniach 16., 18. i 19. Października. Rezultat ubitej zwierzyny nadspodziewanie przewyższył lata poprzednie. Dziesięciu myśliwych polowało w pierwszym dniu na dziki, miejscami otropione na czarnej stopie, czas był okropny, jak to mówią „pod wściekłym psem“, bo gęsta mgła urozmaicana kroplistym deszczem niemiłosiernie dokuczała sztrzelcom i nagance. Nie strzelano do drobnej zwierzyny, wyczekując z kulami w lufach tych miłych i pożądanych czarnych łbów, które ani razu nie wytknęły na myśliwych. Chcąc się pomścić na innych leśnych mieszkańcach, w ostatnich dwóch miotach ubito: 1 rogacza, 1 lisa i 14. zajęcy.

Dnia 18. i 19. Października polowano na znanych Michałowskich piaskach; obecnie zamienionych na piękne sosnowe zagajenia. Rezultat przeszedł nasze oczekiwania, gdyż przez dwa dni w dziesięć strzelb padło: 2 rogacze, 2 lisy, 6 słonek i 180 zajęcy, a cyfry te świadczą, że polowanie w Michałowie policzonem być może do najlepszych w Królestwie Polskiem.

Szczęśliwy jestem, że mogę szanownym czytelnikom „Łowca“ opisać niezwykłe zdarzenie, któremu podobnym z pewnością żadna kronika myśliwska od najdawniejszych czasów poszczycić się nie może; oto pani T. Ch., córka szanownego gospodarza, pierwszy raz odważyła się stanąć z fuzyą na stanowisku, pierwszy strzał w życiu w tym dniu dała do zająca i tegoż dnia na 8, wyraźnie ośm strzałów, położyła 7, wyraźnie siedm zajęcy w czterech nagankach, nazajutrz zaś na dwa strzały zabiła jednego zająca. O szczęśliwe zające! Złóżmy hołd przed tym niezwykłym i fenomenalnym faktem myśliwskim, bo nie jeden z nas może pozazdrościć tak celnych strzałów, a stojąc obok pani Ch. na stanowisku, z prawdziwą przyjemnością przypatrywałem się, z jaką gracyą, szybkością i zręcznością małą rączką zmieniała ładunki, nie przepuszczając żadnego zająca. Kto wie, czy w XX. wieku, który się zbliża, panie nasze nie zamienią od czasu do czasu pantofla na oręż myśliwski, wtedy pójdą mężowie na naganke, a żony na stanowiska — zaprawdę uroczy będzie to widok!

Rezultat ogólny polowań w trzech dniach w Górach: 1 lis, 1 rogacz, 14 zajęcy; w Michałowie 18. i 19. Października 2 lisy, 2 rogacze, 180 zajęcy, 6 słonek, razem sztuk 206 w 10 strzelb.

Tegoroczna ciężka zima w niczem nie zaszkodziła zającom; żarnowiec do szczętu zjedzony na nowo puścił z korzenia; kuropatwy prawie zupełnie wyginęły, przepiórek mieliśmy bardzo mało. W zagajeniach Michałowskich spotkaliśmy kilkanaście słonek, które ciągnąc ku południowi, sprawiły nam miłą niespodziankę, popasając właśnie w rewirach polowanych. Nagonka złożona ze 150 ludzi wzorowo była prowadzoną, skrzydła z chorągiewkami przyczyniły się także do tak pięknego rozkładu

Równocześnie w okolicach Szkalbmierza odbyły się polowania z chartami; uczestniczyły w nich dwie amazonki, panie E. O. i hr. P. M., te westalki sportowego znicza, który niestety gaśnie między nami. Konna jazda, w prawdziwem słowa tego znaczeniu, dziś sportem, dawniej harcem zwana, to wielka pocieszycielka rodu ludzkiego, przy kłopotach i dolegliwościach każdego wieku, nie zatracajmy tej szlachetnej tradycyi, tej zdrowej rozrywki, tak dobrze harmonizującej z naszemi gospodarskiemi zajęciami. Oprócz wyżej wymienionych pań uczestnikami tego sportu byli głównie członkowie Towarzystwa wyścigów konnych w Pławnie. Falista nasza okolica i częste przeszkody urozmaicały zwykłą jazdę i niejeden raz ułożył się ładny obrazek myśliwski, godzien ołówka dobrego artysty. Polowaliśmy w 14 koni dni sześć, biorąc dziennie 4 do 6 zajęcy w ciągu 4 do 5 godzin; siedm chartów puszczano po 3 i 4 naprzemian. Polowaliśmy niezbyt forsownie, nie chcąc narażać nasze towarzystwo na większe zmęczenie. Całe towarzystwo gościnnie podejmowane było przez hr. R. Morstina w Kobylnikach.

Tegoroczne polowanie w Chrobrzu u margrabiego Wielopolskiego odbyło się w dniach 9, 10., 11. i 12. Listopada, a nadspodziewanie piękny rezultat ubitej zwierzyny jest dowodem, że przy starannem jej hodowaniu, nawet u nas, gdzie prawa myśliwskie są bardzo niewystarczające, można dojść do znacznej ilości, byleby administracya leśna sumiennie i wytrwale wypełniała rozkazy swego pana, a zamiłowanego myśliwego. To też pozwalam sobie wyrazić słowa uznania dla całego składu straży leśnej w Chrobrzu, ściśle wypełniającej przyjęte na siebie obowiązki. Tym, którzy dawniej w Chrobrzu polowali, wiadomo, że w rewirze „Bugaj“ nigdy nie ubito więcej jak 30 zajęcy, tego zaś roku mimo ogromnych miotów branych w celu spotkania się z dzikami, padło tam 78 zajęcy. W tymże rewirze w pierwszym miocie było 8 dzików, przeszły bez strzału przez pierwsze stanowisko, umyślnie wypuszczone z powodu bliskości folwarku i domu gajowego, a stąd nieuniknionego i ciągłego hałasu. Na 10 rogaczy padły trzy mylniki (Kümmerer), z których jeden zabity przez p. Ludwika D. nadzwyczajnej rzadkości, rogi jego proste bez żadnych odnóg, nabite licznemi pęczkami, ku przodowi w górze oba zakrzywione tak, że podobne do rogów kozicy, tylko na końcach w przeciwną stronę zaokrąglone.

X. Włodzimierz Cz. zabił trzy leśne szkodniki, tj. sokoła gołębiarza *(falco palumbarius)*, znanego nam dokładnie z zapisków ornitologicznych hr. Kaź. Wodzickiego, jastrzębia dużego zwykłego i zdziczałego kota z uciętym ogonem.

Naganka złożona z 200 do 300 ludzi dobrze prowadzoną była, sznury z płatkami po 500 do 600 metrów długości trzymane na skrzydłach, przysporzyły nam dużo zwierzyny. Oto szczegółowy wykaz: rogaczy 10, zajęcy 445, bażantów 24, lisów 6, jastrzębi 4, różnych 3, razem sztuk 492, wyraźnie sztuk czterysta dziewięćdziesiąt dwie w 14 strzelb na 1024 strzałów. Stosunek strzałów dobry. Oprócz tego padły dwa stare puszaste gęsiory (Hochwild węgierski), wychowane w piwnicy. Wyjątkowy czas uprzyjemniał polowania i nie tak prędko kapryśna jesień obdarzy nas równie pięknym Listopadem, miewaliśmy do 14 stopni ciepła.

Podobno w Galicyi i księztwie Poznańskiem uskarżają się na brak zajęcy, a nawet w wielu miejscowościach nie będą polować w tym roku; u nas wnosząc z polowań odbytych w Górach i Chrobrzu, ilość zajęcy przewyższyła lata poprzednie, co jednak przeważnie zawdzięczyć trzeba systematycznemu żywieniu w zimie tak ciężkiej, jaką była ostatnia. Sarn także więcej, kuropatwy prawie wyginęły. Bażantarnia w Chrobrzu bardzo starannie prowadzona, coroczne miewa 200—250 sztuk młodych. Są tam zwyczajne czeskie, oraz jaśniejsze tureckie, a jako wybryk natury widzieliśmy jedną kurę zupełnie białą. Bażanty strzelano tylko zdziczałe w olszynach i wiklinach. Słowem polowania Chroberskie pod każdym względem zaliczone być mogą do najlepszych w Królestwie Polskiem.

Miławczyce. *Trzebiński.*

KRONIKA.

Dnia 8. Listopada odbyło się posiedzenie Wydziału galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego. Obecni byli członkowie: Dr. Roiński Emanuel, Dr. Rieger Zygmunt, hr. Dzieduszycki Tadeusz, Rieger Władysław, Simon Edward, Łoziński Józef, Zontak Władysław, a jako gość zaproszony dyrektor szkoły leśnej Strzelecki Henryk. W nieobecności prezesa i wiceprezesa Towarzystwa przewodniczył uproszony Dr. E. Roiński.

Na wstępie wzięto pod rowagę projekt zjednoczenia pism „Sylwana" i „Łowca", oraz wydawania wspólnego kalendarza. W sprawie tej przyrzekł dyrektor Strzelecki dać stanowczą odpowiedź po porozumieniu się z komisyą, która sprawę „Sylwana" miała roztrząsać. Według późniejszego doniesienia postanowiono oddać redakcyę „Sylwana" profesorowi Wł. Tynieckiemu, a na rok 1888 wydać wspólny kalendarz.

Odczytano sprawozdanie z wydawnictwa kalendarza „Łowca" na rok 1886, z którego się okazało, że znaczny niedobór nie pozwolił ogłosić owego kalendarza na rok 1887.

Następnie odczytano protokół z ostatniego posiedzenia z dnia 23. Lutego b. r. i przyjęto go bez zarzutu.

Sprawa mianowania dwóch delegatów do ankiety, zwołanej przez Wydział krajowy, w celu rozważeniakwestyi wynagradzania szkód przez myśliwstwo i zwierzynę zrządzanych, obudziło szczególną uwagę Zgromadzenia. Po wyjaśnieniu rzeczy mianowano dwóch delegatów: pp. Dra Riegera Zygmunta i Simona Edwarda.

Z kolei obradowano nad dalszym punktem porządku dziennego: „Sprawa reorganizacyi Towarzystwa, wydawnictwa „Łowca" i sekretaryatu Wydziału". Po żwawej dyskusyi osądzono, że rzeczy tak ważnej nie należy rozstrzygać w nieobecności prezesa i wiceprezesa, odroczono ją przeto do następnego posiedzenia.

Na tem zamknięto posiedzenie.

Na posiedzeniu z dnia 16. Listopada byli obecni: wiceprezes Towarzystwa Hipolit Bochdan, członkowie: Glanz Józef, Dr. Roiński Em., Rieger Władysław, D. Rieger Z., Simon Edward, Zontak W.

Po odczytaniu protokołu z ostatniego posiedzenia i sprostowaniu niektórych jego ustępów, przystąpiono do dalszych obrad, dotyczących reorganizacyi Towarzystwa, wydawnictwa „Łowca" i sekretaryatu Wydziału i uproszono dwóch członków, mianowicie wstępującego w skład Wydziału Stefana hr. Szembeka i dyr. Wł. Riegera, aby zredagowali wnioski w sprawie reorganizacyi Towarzystwa i przygotowali materyał dla porządku dziennego Walnego Zgromadzenia.

Obmyślenie środków, zniewalających członków Towarzystwa do uiszczenia wkładki rocznej, od czego egzystencya „Łowca" zawisła, odroczono do następnego posiedzenia, jako też mianowanie delegatów na powiaty, w których dotąd ich nie ma.

Walne Zgromadzenie galic. Towarzystwa łowieckiego uchwalono zwołać na dzień 12. Grudnia w sali Dyrekcyi domen i lasów i usilnie się starać, aby jak największa liczba członków w niem udział wzięła.

Wniosek S. Kierskiego, tworzenia oddziałów Towarzystwa w powiatach, lub zawiązania ścisłego stosunku z oddziałami Towarzystwa rolniczego, odroczono do następnego posiedzenia.

Postanowiono odbywać posiedzenia wydziałowe w miarę potrzeby w poniedziałek każdego tygodnia i rozsyłać zaproszenia na nie, z dołączeniem porządku dziennego w piątek lub sobotę.

Uchwalono wnieść do Wys. c. k. Namiestnictwa memoryał w sprawie wydzierżawiania polowań gminnych stowarzyszeniom lub spółkom myśliwskim nieulegalizowanym i wybrać deputacyę, któraby wręczyła JEksc. Namiestnikowi ów memeryał.

Na tem zamknięto posiedzenie.

Ciąg słonek w jesieni r. 1886. Widocznie w tym roku dosyć znaczna ilość słonek latowała w naszej okolicy, gdyż widywano ptaki pojedyncze w ciągu letnich miesięcy, a już w pierwszych dniach Października strzelaliśmy słonki. Począwszy od 5. Października pojawiały się po 2—3 w każdym lasku, niekiedy po 6, składające rodzinę, wszakże ciągu żadnego nie było przy ciepłem, spokojnem i suchem powietrzu. Widocznie wszystkie te słonki pochodziły z sąsiednich lasów. Dopiero w nocy z 21. na 22. począł dąć wicher wisielców, śnieżek z lodowatym deszczem ziębił przyrodę i zdawało się, że już zima zapanuje. Przy takiem powietrzu, rzeczywiście, jak Mojżeszowi przepiórki, tak do nas przyleciały słonki, dozór leśny nie potrzebował ich szukać, gdyż, jak twierdzili leśniczowie, siedziała słonka pod każdym krzakiem, nie można było wybrać lasu z największą ilością ptaków, gdyż rzeczywiście wszędzie pozapadały. Liczbę olbrzymią słonek po tem można obrachować, że z mojego stanowiska w małym lasku naliczyłem 43. Ustawicznie słyszeliśmy: „proszę pana, to jeszcze nie wiele, tam dużo więcej". Niestety, wszystko dobre na tym świecie krótkotrwałe, tak też i ta rozkosz minęła, jak westchnienie, pozostawiając w umyśle wątpliwość o rzeczywistej ilości zapadłych słonek, tak była olbrzymia. Na nieszczęście Nemrodów olejowskich na 24. wypadła niedziela, oczywiście bez polowania, a gdyśmy w poniedziałek ruszyli do lasu, zastaliśmy słabą ledwie ariergardę, o ile mi się zdaje, nie należącą do nawalnego ciągu. Dzień po dniu przeganialiśmy las po lesie do końca miesiąca, lecz już słonek nie było, zniknęły jak powabne widmo. W tym samym pamiętnym dniu 22, przyleciała taka obfitość drozdów, paszkotów, kwiczołów, że dzieci po kilkanaście na jarzębinie ubijały, a niepokój panował między tymi ptakami, jak gdyby instynktem przeczuwały jakieś groźne niebezpieczeństwo w rozpoczętej podróży i znikły nam z widnokręgu w tych samych dniach. Śmiało mogę twierdzić o trwaniu tegorocznem ciągu jedynie przez półtorej doby i przyznać, że taką obfitość przy niewidzianym pospiechu, spostrzegłem dwa lub trzy razy tylko w życiu. Powietrze się uspokoiło, słońce znowu poczęło ogrzewać przyrodę i wskrzeszać do życia pochowane owady, zapanowała ciepła jesień, wszakże w nieobecności towarzyszących jej długodiobów. Przyroda nam ustawicznie stawia zagadki do rozwiązania, tajemnice do odkrywania, niespodzianki do podziwiania. Gdzie np. mogła się zebrać do podróży taka ilość słonek, kiedy jej w bliższej i dalszej okolicy nie było, jak można przypuścić wędrówkę z północy w tak krótkim czasie? Z jakiej przyczyny ten niepokój i popłoch pomiędzy ptakami, w końcu z jakiego powodu odleciały tak spiesznie, przy ciepłej i wilgotnej jesieni, oraz przy obfitym żerze? Instynkt, ów król rozumów, musiał wskazać, że później w Alpach i Bałkanach będą przeszkody niedopokonania i powołał wędrowców, zostawiając myśliwych naszych w tęsknocie i żałobie.

Olejów 16. Listopada 1886. *Kazimirz hr. Wodzicki.*

Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego wniósł do Wys. c. k. Namiestnictwa następne podanie:

Doszło do wiadomości Wydziału galic. Towarzystwa łowieckiego, że tworzą się na prowincyi tajne stowarzyszenia myśliwskie, które pod pozorem szanowania i pielęgnowania zwierzyny, prowadzą bez należytej organizacyi i dozoru, w całem tego słowa znaczeniu bezprawne kłusownictwo. Dzierżawy polowań gminnych przeszły w wielu miejscowościach w podobne ręce, a właściciele większych posiadłości muszą ze zgrozą i boleścią przypatrywać się, jak ludzie różnego stanu i zawodu, nie dbając wcale o zachowanie przepisów łowieckich, dzień w dzień, a nawet po nocach, włóczą się po polach sąsiednich i bez miłosierdzia zwierzynę tępią, zasłaniając się wymówką, że należą do stowarzyszenia lub spółki myśliwskiej i że jako członkom tychże dowolne polowanie na wydzierżawionych gruntach wzbronione im być nie może. Wydział galic. Towarzystwa łowieckiego nie zapoznaje korzyści, jakieby wynikły, gdyby takie stowarzyszenia myśliwskie istniały na legalnej podstawie, na mocy zatwierdzonych przez Wys. c. k. Namiestnictwo statutów, bo wówczas organa nadzorujące polowania byłyby nie tylko postrachem dla takich stowarzyszeń i skuteczną zaporą dla kłusowników, ale także osiągnąłby się i ten cel, że spożywanie zwierzyny byłoby przystępniejszem dla różnych warstw społeczeństwa, które w dotychczasowych stosunkach są prawie od niego wykluczone. Jeżeli jednak dzierżawienie polowań gminnych w ten sposób się praktykuje, że jakaś osobistość drogą licytacyi prawo to nabywa, a kilkudziesięciu innych są tajnymi jej wspólnikami i nazywając siebie bezprawnie członkami stowarzyszenia myśliwskiego, mniemają, że mogą na tej podstawie zawsze i wszędzie, bez żadnego ograniczenia samopas polować i zwierzynę tępić; to tego rodzaju, bez wiadomości c. k. Starostwa dokonywane, niby ulegalizowane kłusownictwo, musi doprowadzić stan zwierzyny krajowej po kilku latach do najsmutniejszych rezultatów. Wydział galic. Towarzystwa łow. pozwala sobie oddać tę sprawę rozwadze Wys. c. k. Namiestnictwa, a zarazem prosić, aby c. k. Starostwa otrzymały stanowcze i jasne instrukcye, w jaki sposób i pod jakimi warunkami łowiectwo na zadzierżawionych gruntach włościańskich mogłoby być tworzącym się

korporacyom myśliwskim dozwolone. Byłoby również pożądanem, aby c. k. Starostwa baczniej przestrzegały istniejących przepisów, dotyczących dzierżawienia polowań gminnych, a szczególnie, aby od licytacyi były wykluczone takie osobistości, które nie dają dostatecznej rękojmi, iż tylko według obowiązujących ustaw wykonywać będą łowiectwo na wydzierżawionych gruntach.

Stefan hr. Szembek. *H. Bochdan*, wiceprezes.

Chorostków pod Haliczem.

Dnia 22. Października przybiega do mnie kobieta z pola zapłakana i nastraszona i prosi, abym wydał jaki plaster, bo dziecku coś nos odgryzło. Znając ludzi wiejskich, że przesadzają, myślałem, że to tylko skaleczenie, wypytuję więc, a ona opowiada, że dziecko (12tygodniowe) położyła obok siebie na polu, a sama żęła kukurudzę, naraz dziecko mocno zapłakało, przybiega i widzi dziecko zakrwawione na twarzy, a od dziecka uciekło coś czarnego, długiego, błyszczącego. Po obmyciu dziecka przekonała się, że ono ma nos odgryziony. Bojąc się sam kurować takie niemowlę, ledwie namówiłem kobietę, że poszła do lekarza, tymczasem kazalem przykładać zimną wodę. Obecnie dziecku lepiej, rana się goi. Podając ten wypadek, zapytuję, jaki z naszych drapieżników mógł dziecku nos odgryźć? Że miejsce, gdzie ten wypadek się zlarzył, położone jest nad rzeką (Gniłą Lipą), zarosłą brzegiem łoziną, więc przypuszczam, że to mogła być wydra, ale jako znana z ostrożności i płochliwości, czyby była tak śmiałą i to w samo południe? Że to nie zrobiła ani łasica, ani kuna, jestem prawie pewny, bo położenie jest niskie i mokre, a kobieta wyraziła się, że „zwir dowhij, czornyj i błystiennyj“. *Wincenty Lekczyński.*

P. P. Zdaje się nam z opisu zwierzęcia, podanego przez kobietę, że przypuszczenie szan. korespondenta jest słuszne, wydra bowiem lubo ostrożna i płochliwa, jest wielce drapieżną.

Z Samborskiego.

Dnia 23. Października 1886 odbyło się polowanie w majątku Wngo Macieja Zenona Serwatowskiego, w lasku 250-morgowym, w 6 strzelb. Mimo niesprzyjającej pogody w przeciągu 3 godzin ubito 18 zajęcy, 5 lisów, 5 słonek, prócz tego znaleziono drugiego dnia 4 zajęce i lisa. Śmiało rzec można, iż paśćby mogła podwójna ilość zwierzyny, gdyby ta dla braku odpowiedniej ilości strzelb nie uchodziła flankami. Sarn widziano sztuk kilkanaście, między temi jedną szczególną: srokatą z białą łysiną na czole. Na dowód dobrego zwierzostanu przytoczyć warto fakt, że przed skończonym miotem, po dwóch strzałach do zająca i lisa prawie równocześeie, zaraz po chwili lis drugi napadł drgającego jeszcze zająca i nie zważając na zbliżającą się nagonkę, padające strzały i niemiłosierne skrzeczenie zająca, umykał z tymże w gąszcze. Zuchwałość swoją, wzięty w ogień krzyżowy, przepłacił życiem. Dwa lata temu polowano tamże w 9 strzelb przez cały dzień i ubito 1 lisa, co jest wymownym dowodem istnienia kłusownictwa, które tamże na dobre kwitło. *F. J. Wrobek.*

Złotniki ad Pantalicha 11. Listopada 1886.

W korespondencyi mojej do „Łowca“ z miesiąca Maja b. r. użalałem się na długotrwałą zimę i niezwykłą obfitość lisów, a zarazem wypowiedziałem tamże obawę, ażali wychowa się lęg zajęczy, t. z. „marczaki“. Dziś można już stanowczo powiedzieć, że nie tylko marczaki przepadły, ale też i późniejszy lęg. Bóg chyba wie, gdzie się podział, bo przecież niepodobna sądzić, iżby marcowe i kwietniowe tegoroczne zimna, z częstymi i dotkliwymi przymrozkami, jak również w okolicy tutejszej obfitość lisów, mogły tak dalece wyniszczyć zające, jak to z prawdziwym smutkiem obecnie spostrzedz się daje, na co też niejeden zwolennik św. Huberta, zawiedziony w nadziejach, słusznie narzeka. Dotkliwy ten brak zajęcy, należy, zdaniem mojem, przypisywać w pewnej części wyniszczeniu przez licznych z natury nieprzyjaciół rodu zajęczego, przedewszystkiem zaś tutaj, przez mnogość lisów, z drugiej zaś strony, prawdopodobnie istnieje w tym roku jakaś choroba pomiędzy zającami. Oto co mię naprowadza na ten domysł: Dnia 9. Października spostrzegłem na dwóch zajęczych wątrobach mnogą ilość wrzodów pęcherzykowatych, kształtu podłużnej, średniej wielkości fasoli, napełnionych lepką, cośkolwiek mlecznomętną i bezwonną substancyą, co mię wprawdzie zaniepokoiło, lecz nieprzypuszczałem, aby te owrzodzenia stanowiły jaką chorobę; jednak dnia 4. b. m. znowu zobaczyłem takie same owrzodzenia na wątrobie zajęczej, na której prawie w większej części same wrzody były. Dnia dzisiejszego wyszedłem do lasu, zobaczyłem w krzakach bardzo powolnie i bez obawy uciekającego, a widocznie sił pozbawionego zająca; sądziłem, iż był uszkodzonym; wszedłem w krzaki i bez wysilenia złapałem tego biedaka, przyczem ze zdziwieniem przekonałem się, że nie był on wcale zewnętrznie uszkodzonym, a natomiast wychudzonym i że się tak wyrażę, „suchotnikiem“ składającym się ze skóry i kości. Zabrałem go więc do domu w intencyi przekonania się o jego widocznej słabości, starannie rozebrałem go i ze zdziwieniem znalazłem znowu tak jak u poprzednich na wątrobie w wielkiej ilości bąblowate pęcherze, jako też i w wątrobę wrośnięte takież same pęcherzowate owrzodzenia, klejowatą cieczą bezwonną napełnione, które za lekkiem pociśnięciem pękały, zaś reszta wątroby była zepsuta i jakby zgniła; inne części składowe wewnętrznego ustroju były wolne od opisanych wrzodów. Może nie bez słuszności naprowadza mię to na domysł, czy nie ta choroba zabrała swój haracz z pomiędzy tegorocznych zajęcy i może to będzie głównym powodem, że w tym roku daje się uczuć tutaj tak dotkliwy brak zajęcy. Czy jednak toż samo dzieje się gdzieindziej, tego na razie nie wiem.

Podając fakta powyższe do wiadomości czytelników „Łowca“, mam zamiar zwrócić uwagę tych Panów, którzy zechcą podjąć trud i pracę w celu zbadania, czy, jaka i z czego mogła powstać ta choroba, jeśli to istotnie chorobą nazwać można.

Wracając do obfitości lisów, dość powiedzieć, że na kilkudziesięciomorgowej parceli lasu zastrzelono tutaj 7. Października b. r. w dwie strzelby, w niespełna dwóch godzinach 8 lisów, a 3 uszły bez strzału; natomiast zające bardzo rzadko się pokazywały. Również kuropatwy, których pod wiosnę dosyć zostało i już z wiosną w różnych miejscach słyszeć się dawały, bardzo jest w tym roku tutaj skąpo, a trafiłem we Wrześniu b r. na 3 jałowe parki. Może lisy nie mało się tutaj przysłużyły biednym kuropatwom! *Dom. Buda.*

Wilk i kozieł. (Bajka).

Raz basior napotkawszy capa, rzekł doń: „Bracie,
Pragnąłbym z duszy serca uczynić coś dla cię
Chcę cię cywilizować, zwilczyć, jednem słowem:
Sierść masz lichą, wytartą, a tak futrem płowem
I puszystem porośniesz; będzieć ciepło w zimie,
Wraz i siły nabierzesz; już ci się nie imie
Lada kurta do łydek, bo wilczy ród znany!
Dla nas przecie stworzone owce i barany;
Mamy prawo zjeść wszystko, co jest do zjedzenia.
To święte prawo wilcze! A gdy do plemienia
Naszego będziesz liczon, świat będzie twój cały!“
Na to odrzecze kozieł: „Zaszczyt to nie mały;
Lecz nie widzę sposobu... kozłem mnie stworzono;
Kozłem był dziad mój, ojciec; koziem mlekiem łono
Matki mnie wykarmiło... Jakaż na to rada?“
„Poradzim!“ wilk odrzecze. „Więc naprzód wypada,
Bym cię zasymilował, to znaczy: zadławił.
Następnie schrustał, połknął, a w ostatku strawił.
Wtedy przejdziesz w krew moję, zmienisz się w me kości
I w mych dzieciach do późnej przejdziesz potomności“.
Cap tylko brodą trząsnął: „Uważ panie drogi,
Że Pan Bóg dał mi na łbie bardzo twarde rogi;
Więc nim mnie zwilczyć zdołasz, to przed tą odmianą
Jeszcze ci moje rogi djablo w gardle staną!“

Henryk Sienkiewicz.

Kamienopol.

W ostatnich dniach Października dali mi znać oracze o zjawieniu się niezwykłego jakiegoś ptaka, który żerował na pobliskiej ścierni pszenicznej. Ruszam tedy w towarzystwie kilku spektatorów, uzbrojony w dubeltówkę. W istocie zdala już spostrzegłem owego większego niż kuropatwa ptaka. Podjeżdżamy, strzelam z wózka, trafiam, nabój odcina ogon tak, że pierze się posypało. Poznałem, że to była pardwa, która po tym strzale uleciała na dalsze pola. Widząc, gdzie zapadła, ponownie zaczynamy objeżdżać. Już się zbliżamy, w tem jastrząb dużych rozmiarów spada na pardwę, lecz bezskutecznie, ona zapiszczawszy pomknęła naprzód, a za nią tuż jastrząb. Jaki ją los spotkał, czy uszła lub dostała się w szpony jastrzębia, nie wiadomo mi, lot bowiem ich był szybszym, jak bieg naszych koni. Okolica podlwowska od Krzywczyc począwszy, opólna i płaska, łącząc się z Podolem, a przez nie pośrednio z Ukrainą, bywa w niektórych latach często nawidzaną przez ptactwo, którego wyłącznem miejscem pieleszy są stepy Podola, Ukrainy,

Besarabii lub Krymskie limany. Bywają lata, w których na polach Kamienopola, Podhorzec, Mikłaszowa i t. d. nagle po silniejszych wschodnich wiatrach pojawiają się dropie, siewki i pardwy, które wedle zaręczenia panów Edwarda i Aleksandra Ubyszów, dawniejszemi laty zjawiały się w tej okolicy w większej lub mniejszej liczbie. Niemniej zaręczali ci panowie, że w czasach, gdy w Srokach, Kamienopolu i Pikułowicach istniały jeszcze duże stawy, zjawiały się kilka razy pelikany — baby, których ojczyzną Ukraina i Krymskie limany. Mewy — śmieszki, a jak je tu nazywają wrony morskie, wtedy tylko pojawiają się na obszernych tutejszych łąkach, gdy ma być rok słotny. Zabawne miałem zdarzenie, które ośmielam się w krótkości przytoczyć. Pewnego wieczora daremnie na skraju lasu czekając na jesienny ciąg słonek, nagle wychodzi na mnie lisiura, palę więc do niego cienkim śrótem i trafiam go. Na strzał wypadł pies mój mięszaniec z legawca i doga, którego zwykle biorę z sobą dla wypłaszania słonek. Ujrzawszy trafionego dusimyszkę, wpadł na niego obcesem. Była to lisica, zwraca się ku psu, skacze mu do oczu, chwytając za wargę, kaleczy nieco, ale silniejszy pies dodusił ją. Była to nie wielka sztuka, lecz widocznie bardzo odważna. *Feliks Gintowt.*

Czerniów 24. Października.

(Ustęp z listu.) Dziś raniutko był u mnie zaprzysięgły pobereżnik Mandelbauma i doniósł, iż wczoraj p. Ferus polował w lasach Czerniowskich, graniczących z lasem pana dobr. w Poświeżu. Za pierwszym strzałem koło drogi Kołokolińskiej padła stara sarna, którą zabił jego przysięgły strażnik, Mykita Melnyk z Czerniowa. P. Ferus prosił pobereżnika, aby nikomu nic nie mówił, lecz pobereżnik przywołał czterech chłopów z pogonki: Dymytra Ilków, Andrucha Witer, Iwana Romanyszyn i Michała Witer i pokazał im w przytomności p. Ferusa sarnę, mówiąc: „czy tak się należy i czy tak robią właściciele polowań.“ P. Ferus jeszcze raz prosił, by użytku nie robił, że ten, co sarnę zabił, jest ojcem dzieci, niech na dzieci jego uważa i nikomu o tem nie mówi, lecz pobereżnik oświadczył, iż on przysięgły, musi z tego użytek zrobić. Ale nie na tem koniec. W trzecim miocie padła znowu koza, którą teraz p. Ferus sam zabił. Pobereżnik znów przywołał tych samych świadków, pokazał im kozę, podniósł ją do góry, pokazał im jej wymię, z którego miało jeszcze mleko wyciekać i poszedł do domu. Oprócz tych dwóch sarn nic a nic więcej nie zabito, i nic a nic do zabicia nie było, tak wszystko wytłukli. Pobereżnik Stefan Jakimów oświadczył, iż jeżeli wny pan dobr. nie zrobi użytku z tego i nie doniesie właściwym władzom, to on sam to zrobi i w tym względzie był u mnie. Pobereżnik i świadkowie wyżwspomniani są z Czerniowa i to wszystko zeznają pod przysięgą. *Leszczyj.*

Z nad Sanu.

U was „na dołach“ pewnie pogodnie i ciepło, kiedy w naszym „garbatym świecie“, jak wy mówicie, do Listopada śniegu nie było, nie nazwę bowiem oznaką zimy obielenie się śniegiem, który już zginął, wyższych szczytów Magóry, Otrytu i Żukowa. U nas prawie lato. Kwiczoły mając dostatek żeru, jagód, kaliny, jarzębiny, jafory (borówek) nie ciągną ku niższym działom na jałowiec. Sarny też przebywają w letnich swych szczytowych ostojach, bo mają czem się pożywić. W roku przeszłym o tej porze już były zeszły nad San, aby ogryzać pędy łozowe po nad śniegiem wystające. Kiedykolwiek wyjechałem wózkiem, widywałem stadka silwanek, a obecnie . . . Ale

Nie uczynią uciechy
Bezzębnemu orzechy!

Na cóż mi się zda widok zwierzyny, gdy nogi i krzyże wiekiem zgarbione, przypominają: *non possumus.* *L.*

Chlebiczyn 13. Listopada.

Dnia 5. Listopada odbyło się polowanie w Turce u p. Jakóba Agopsowicza. Padło 13 kozłów, dwie kozy zabiły się same, 28 zajęcy i 5 lisów. Zajęcy było mało, bo jeszcze nie ściągnęły do lasu.

Mikołaj Asłan.

W Chrześnie, powiecie Stryjskim, ubito dnia 29. Października r. b. w 10 strzelb 1 odyńca dużych rozmiarów. 4 kozły, 8 lisów i 24 zajęcy. *B.*

Petersburskie „Wiedomosti“ donoszą, iż puszcza Białowieska i sąsiednie lasy nad Swisłoczą, stanowiące dotychczas własność skarbu, przejdą wkrótce na własność dworu carskiego. Obecnie dokonaną została lustracya tych olbrzymich przestrzeni leśnych, zajmujących obszar przeszło 9000 włók. Skarb jako kompensatę otrzyma odpowiednią ilość lasu w guberniach grodzieńskiej i moskiewskiej.

Gruźlica u zajęcy. Tego roku w wielu miejscowościach pokazał się zupełny brak zajęcy tak, że nawet u najlepszych hodowców zwierzyny musiano zaniechać polowań na nie. Przyczyną tego jest w części ubiegła ciężka zima, ale klęską prawdziwą jest dla zajęcy gruźlica płuc, stwierdzona przez Dra Walentowicza, weterynarza miejskiego Krakowskiego. Temu ostatniemu przysłał p. Homolacs do zbadania dwa wspaniałe okazy zajęcy, na których skonstatowaną została gruźlica, choroba podobna do suchot. Ona to trzebi obecnie tak strasznie zające. Dodać należy, że szkodliwem jest dla zdrowia mięso zająca, chorego na gruźlicę. *(Dziennik Polski.)*

Kolonia bobrów. Bobry nie znajdują się prawie w całej Europie. Te, które się napotyka nad brzegami Rodanu, Dunaju i Wezery, żyją pojedynczo w swoich budynkach, gdyż bliskość ludzi odstrasza ich od tworzenia osad i budowania tam, jak to robią ich pobratymcy w Ameryce północnej. Jeden z najbogatszych dziedziców angielskich markiz v. Bute, z szczególniejszego zamiłowania do tych zwierząt, próbował osiedlić bobry w Szkocyi. W tym celu kazał on w pobliżu Rothesay wśród lasu Mont-Stuart otoczyć murem dość obszerną, drzewami pokrytą przestrzeń i umieścił w niej pewną ilość bobrow, sprowadzonych z Kanady. Strumyczek spływający z gór pobliskich przepływa ten improwizowany park. Bobry pozostawione same sobie, nadały biegowi potoku całkiem odmienne wejrzenie. Przy pomocy wielkich gałęzi, pni, ziemi i kamieni wybudowały w środku drogi trzy tamy czyli progi. Skutkiem tego potok zmienił się w stawek, którego powierzchnia wody sięga zawsze tej samej wysokości, na brzegu wznoszą się chatki i domki, które stoją prostopadle na gęsto ustawionych palach i ukazują dwa wyjścia, jedno na brzeg, drugie do wody. Kształt domków jest okrągły, stożkowaty, domki są murowane dosyć silnie i z wierzchu i ze środka tak dobrze pokryte pewnego rodzaju cementem, że deszcz nie może doń przeniknąć. Materyałem budowlanym tych bobrów są lekkie drewienka wierzbowe. Piłowaniem zębami i nadgryzaniem u spodu drzew udało się im ściąć kilka pni. Zauważano także, iż gdy sobie upatrzyły jakie drzewo, to nie zaprzestały wpierw pracy, dopóki go nie ścięły, nie podzieliły i nie sprzątnęły. Zwykle podcinają owe drzewa w tej samej wysokości t. j. na stopę po nad ziemią. Ścinanie drzew urządzają sobie wygodnie, bo siedząco, przerywając swą pracę tylko gryzieniem kory, która jest ich ulubionem pożywieniem. Zręczność bobrów pozwala im ściąć drzewo w tym kierunku, w jakim pragną. Gdy drzewo ścięte, odcinają bobry gałęzie i budują z nich gęsto stojące pale, by osłabić gwałtowny prąd wody. Bobry są nadzwyczaj trwożliwe, przy najmniejszym szeleście ostrzegają się wzajemnie uderzeniem ogona o wodę i chowają się, gdzie który może. Ich domki są czyste i wygodne, podłoga wysłana trawą, gałązkami jodeł i bukszpanem. Próby powyższe, przedsiębrane przez markiza v. Bute, przedstawiają wiele ciekawego i zachęcającego do naśladowania. Osiedlenie bobrów w wodnych dolinach górskich nie dawałoby większych trudności, jak oswojenie strusia na przylądku Dobrej Nadziei, gdzie podług dat statystycznych liczą tych ptaków 32.000, oswojonych w miejscach zamkniętych, na sposób zwierząt domowych. *(Przyrodnik.)*

Ogłoszenie.

Dnia 12. Grudnia b. r. odbędzie się Walne Zgromadzenie galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego w sali Dyrekcyi domen i lasów, na ulicy Kopernika, o godzinie 11. rano, na które Wydział Szanownych członków uprzejmie zaprasza. Na porządku dziennym prócz innych nader ważnych spraw stać będzie wybór całego Wydziału.

Pierwszy, najstarszy, jedyny na całą Galicyę

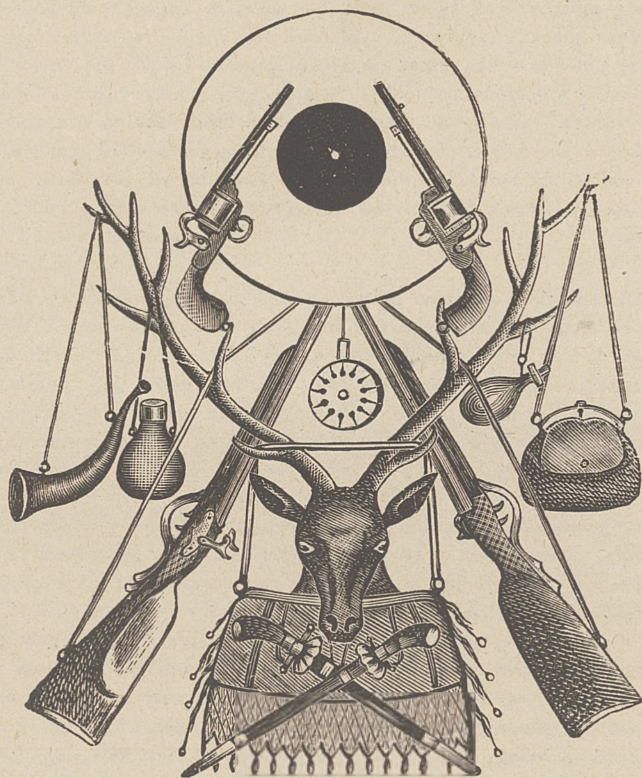
MAGAZYN BRONI

i przyborów myśliwskich

założony w r. 1852.

FRANCISZKA EHRLICHA

we Lwowie Halicka ulica l. 6.



BROŃ

wyrobu najsławniejszych belgijskich fabryk M. Arendt, Augusta Frankolego, wyroby czeskie i niemieckie, po bardzo zniżonych cenach.

	Od zł.	Do zł.
Pojedynki kapslowe	6.—	9.50
Dubeltówki kapslowe	11.—	35.—
Dubeltówki Lefaucheux	22.—	120.—
Dubeltówka Lankaster	33.—	150.—
Pojedynki Lefaucheux i Lancastra	24.—	35.—
Dubeltówki Teschnera i Dreysego	120.—	130.—
Sztućce do polowania	28.—	60.—
Sztućce tarczowe	60.—	150.—
Sztućce Floberta	8.—	30.—
Pistolety Floberta	4.50	30.—
Krucice jedno- i dwururkowe	1.—	10.—
Rewolwery Lefaucheux na 5, 7, 9, 12 m/m	4.—	20.—
Rewolwery Lancaster 5, 7, 9, 12 m/m	6.—	35.—

Magazyny, miarki i rożki na proch, śrutownice, trąbki, piszczałki, wabiki, kapselniczki, futerały do strzelb i rewolwerów, torby myśliwskie wszelkiego rodzaju, paski do strzelb, pióra, kapelusze, czapki, kamasze i pończochy myśliwskie, kubki rogowe i cynowe do składania, etui ze szklanką, łyżką, nożem i widelcem do składania, kordelasy, noże i sztylety myśliwskie, siatki, krzesła do polowania, przybitki filcowe, dykturowe i tłuszczone, w różnych wielkościach, manierki i do wszystkich wyżej wymienionych broni wszelkie naboje i przybory.

Patrony		Kaliber 8 zł.	10 zł.	12 zł.	14 zł.	16 zł.	18 zł.	20 zł.	24 zł.	28 zł.
Lefaucheux zielone	Za 100 sztuk	2.70	2.50	2.—	1.90	1.80	1.80	1.80	1.80	1.80
„ bronz.		2.20	2.—	1.90	1.70	1.40	1.40	1.40	1.40	1.40
„ szare		1.80	1.60	1.45	1.25	1.—	1.30	1.30	1.30	1.30
Lancastra zielone		2.90	2.80	2.40	2.20	2.10	2.10	2.10	2.10	2.10
„ bronzowe		2.80	2.70	2.20	2.10	1.80	1·80	1.80	1.80	1.80
„ szare		2.50	2.—	1.60	1.50	1.35	1.40	1.40	1.40	1.40

OGNI SZTUCZNYCH

salonowych, ogrodowych i wodnych.

Szczegółowy cennik na żądanie wysyłam gratis i franco.

Łaskawe zamówienia z prowincyi uskutecznione zostaną odwrotną pocztą.

!Ważne dla myśliwych!

Główny magazyn broni i przyborów myśliwskich

ALFREDA DZIKOWSKIEGO

we Lwowie i w Tarnopolu

poleca po znacznie zniżonych cenach.

1886/7 Na sezon 1886/7

Niezawodne, wypr**ó**b. **łuski** nabojowe
Lefaucheux, kaliber 16 100 szt. 1·—
„ „ 14 „ „ 1·25
„ „ 12 „ „ 1·45

Niezawodne, wypr**ó**b. **łuski** nabojowe
Lancaster, kaliber 16 100 szt. 1·35
„ „ 14 „ „ 1·50
„ „ 12 „ „ 1·60

Wyłączny skład na Galicyę patronów piorunowych, patent. ulepsz. konstrukcji do strzelb Lancastrowych (Centralfeuer-Blitz-Brandpatronen) 100 szt. kalibr. 16 3 zł., kalibr. 12 3·50.

Patrony iglicowe Dreysego
„ „ Teschnera
„ **Lefau. i Lancas.** Eleya
„ „ „ Kynocha.

Mosiężne masiw z jednego kawałka
Lefaucheux lub Lancaster
100 sztuk kaliber 16 5·—
100 „ „ 14 5·20
100 „ „ 12 5·40

200 szt. najlepszych **przybitek** 35 ct.
Kule 5-cio częściowe 10 sztuk 60 „
Kule łańcuchowe, 1 sznurek 10 „

Proch myśliwski
w najlepszym gatunku:
pół kilogr. po 71, 94 ct. i wyżej
pół kilogr do rozsadzania 40 ct.

Śrut we wszystkich grubościach
1 kilogram 30 ct.
Przy odbiorze 10 kilogr. z jednego numeru 28 ct.

Strzelby odtylcowe:
Dubeltówki Lancaster od 25·—
„ Lefaucheux od 20·—
„ kapslowe od 10·50
Pojedynki kapslowe od 6·50

Rewolwery syst. Lefaucheux od 3·75
„ „ Lancaster „ 5·50
Patrony do rewolwerów we wszytkich kalibrach.

Pistolety tarczowe Floberta od 4.—
Sztućce „ „ „ 8·50
250 patronów 6 m/m z kulami 1·25
100 „ 9 „ „ 1·50

Torby myśliwskie od 2·—
Siatki od 1·—, **troki** —·40
Pasy na patrony 1·25
Kamasze do błota 2·—

NOWOŚĆ!

Oryginalne angielskie karabinki repetjery

12-strzałowe z zapałem centralnym kalibr. 44 (12 m/m)

systemu i wyrobu COLTA w Londynie.



Długość całego sztućca 100 ctm.
Waga . . . . . 265 dekgr.
Cena . . . . . 65 złr.

100 patronów ostrych z kulami . . 6 złr.
Oryginalnych angielskich 100 sztuk . 8 złr.

Jest to broń myśliwska, która uznana została przez ludzi fachowych za najlepszą w swoim rodzaju tak pod względem precyzji strzału jak i wykończenia nadzwyczaj starannego. Karabinki te przewyższają wszystkie dotychczasowe systemy magazynowe swoją pojedynczą konstrukcyą i trwałym mechanizmem.

Bardzo praktyczne dla każdego myśliwego

Lusterka świecące w nocy,

zastępujące muszki na lufach, dające się używać z najlepszym skutkiem do polowań nocnych (na zasiadki) na dziki, lisy, gęsi i kaczki.

Cena jednej sztuki wraz z opisem użycia 1 złr.

Cennik illustrowany na żądanie rozsyłam franco.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z Związkowa Drukarnia we Lwowie.